

szturm.com.pl

SZTURM

miesięcznik narodowo-radyczny nr 8/2019 (59) ISSN 2450-5439



SZTURM.COM.PL

Spis treści

Grzegorz Ćwik - Nacjonalizm społeczny.....	3
Grzegorz Ćwik - Viva la muerte	26
Jacek Bartyzel - DUBY SMALONE "Polski Walczącej Przeciw Faszyzmowi"	45
Marcin Bebko - Czy słyszeć wiatr zmian?.....	49
Subwencje i dotacje czyli skąd partie biorą pieniądze i dlaczego nie zawsze warto wygrywać wybory	52
System d'Hondta czyli jak głosując na Konfederację głosujemy na PO	55
Ch***wo ale stabilnie, czyli wszystko zostaje po staremu.....	59
Na koniec	66
Bartłomiej Madej - Czym było Goralenvolk?	70
Jarosław Ostrogńew - Krytyka zagadnień ekonomicznych. Część II: Teorie ekonomiczne i ekonomia naukowa	73
Patryk Płokita - „Nacjonalizm Nowej Fali”, część pierwsza, wstęp i geneza.....	79
Maksymilian Ratajski - Przeciwno szurii i upadkowi szczepień – rzecz o antyszczepionkowcach.....	88
Wojciech Titz - Nacjonalizm po stronie ludzi pracy	94
Filip Waligórski - Ku ludowości.....	98
Filip Waligórski - Netflix zabija rasę.....	103
Oleś Wawrzkowicz - Budowa programu politycznego i społecznego w myśli Wojciecha Kwasieberskiego.....	105
Oleś Wawrzkowicz - Idea a czasy współczesne	109

Grzegorz Ćwik - Nacjonalizm społeczny

Obecny nasz polski nacjonalizm jest wysoce wybrakowany. Z różnych względów i powodów we współczesnej polskiej myśli narodowej nie ma lub prawie nie ma szeregu niezwykle istotnych aspektów i tematów społecznych czy ekonomicznych. Skupienie się na niewielkim cokolwiek wycinku tego, co wchodzi w spektrum zainteresowania nacjonalizmu oraz kolejne sojusze z liberałami i politykierskie szpagaty polskiego środowiska narodowego zaowocowały doktryną, która jest niepełna, upośledzona i dla przeciętnego polskiego obywatela czy obywatelki zupełnie nieprzydatna. Porównując ideę narodową z lewicą – czy tą głównonurtową czy marginalną, stwierdzić musimy, że zakres tematów, jaki wchodzi w nasze pole zainteresowań wypada zdecydowanie niekorzystać nacjonalizmu. O ile bowiem w zagadnieniach jak chociażby polityka zagraniczna, ofensywa lgbt czy oczywiście nieodłączna historia jesteśmy w stanie pochwalić się określonymi osiągnięciami i stałą obecnością tych elementów w naszej działalności, to jednak brakuje w niej zatrważającej liczby zagadnień społeczno-gospodarczych. Idzie tu zresztą zarówno o ilość tych tematów, jak i ich jakość, czyli znaczenie dla naszego narodu. Wielokrotnie już na łamach „Szturmu” mówiliśmy o tym, że idea nacjonalistyczna w Polsce niebezpiecznie oddala się od „zwykłego” Polaka i Polki, oraz ich potrzeb i problemów. Funkcjonowanie w przestrzeni publicznej narodowych (lub jak niektórzy złośliwi piszą: „narodowych”) projektów o charakterze politycznym uwidacznia nam nędzę i mizериę ideologiczną i programową. Cóż nam po tym, że Ruch Narodowy posiada długi i opasły program polityczny, który skądinąd zawiera wiele społecznych i pronarodowych rozwiązań, jak w praktyce partyjka ta podporządkowała się komediantowi w muszce, stając się zakładnikiem jego liberartariańskich i neoliberalnych bredni. Efekty tego

są takie, że politycznie narodowczyzy znów stali się zakładnikami antynarodowej idei, a sam Korwin (piszę te słowa 20 sierpnia) najwyraźniej stoi w obliczu powszechnego w skali kraju rozpadu swoich struktur. Pojawiają się już pierwsze publiczne oskarżenia o milionowe malwersacje i wyprowadzenia majątku (przewija się kwota 10-12 milionów złotych zdefraudowanych przez ludzi z partii Korwina).

Takie są efekty rozminięcia się idei narodowej z kwestiami społecznymi, socjalnymi i ekonomicznymi. I nie mówię tu o wrzaskach na temat za wysokich podatków (które są jednymi z najniższych w Europie) albo wygadywania fantazmatów o likwidacji ZUS-u. Mówię to o próbie stworzenia faktycznie nacjonalistycznej optyki dla szeregu problemów i zagadnień. Artykuł ten stanowić ma ze swego założenia krótka listę (zawsze obiecuję sobie pisanie *krótkich* tekstów, które w trakcie procesu twórczego rozrastają się niebotycznie) takich w dużej mierze pomijanych lub kompletnie pomijanych wątków w publicystyce i myśli narodowej. Jak zawsze mam nadzieję, że tekst ten natchnie kogoś do własnych uwag, rozważań, a nade wszystko działań na określonych polach. Zdaje sobie sprawę, że jeden artykuł nic nie załatwi i nie stworzy całościowego i komplementarnego programu nacjonalizmu społecznego, mam jednak nadzieję, że wywoła określoną dyskusję, ferment i refleksję.

Porównanie bowiem narodowej i prawicowej publicystyki z tą lewicową dowodzi straszliwego niedorozwoju i zacofania na tych polach w obrębie naszego środowiska. Tytuł tegoż tekstu – „Nacjonalizm społeczny” ma być zarówno klamrą, która spaja szereg zjawisk i tematów w określoną całość, jak i nawiązywać do paru innych moich tekstów z „nacjonalizmem” w tytule. Kolejność omawianych kwestii jest rzeczą

umowną, uważny czytelnik i tak dostrzeże oczywiste powiązania między nimi, nieuważny... mam nadzieję, że „Szturm” takowych nie posiada.

1989 – rok zmian, rok błędów

Jednym z największych naszych narodowych bolączek jest brak właściwej i krytycznej recepcji tzw. „przemiany ustrojowej”. Nie chodzi mi tu tylko o punktowanie lojalek i kwitów Wałęsy czy intelektualne onanizowanie się zdjęciami z Magdalenki (skądinąd odrażającymi). Chodzi przede wszystkim o dokonaną po roku 1989 neoliberalną rewolucję w polityce, ekonomii, społeczeństwie i funkcjonowaniu państwa. Nie mam zamiaru bronić tu PRL-u, był to ideologicznie chory system oparty o sowiecką okupację, terror, systemową niewydolność i postępujące technologiczne zacofanie. Jednak receptę jaką na to wszystko wymyślił konglomerat elit postkomunistycznych i postsolidarnościowych uznać trzeba za najgorsze możliwe rozwiązanie, którego negatywne skutki ponosimy do dzisiaj. Otóż jako remedium na kryzys ekonomiczny i ogólny zastój państwa wprowadzono pakiet reform, które zwyczajowo (i słusznie) wiąże się w Leszkiem Balcerowiczem. Opierały się one na doktrynie urynkwienia i wprowadzenia zasad kapitalistycznych w Polsce. W praktyce oznaczało to złodziejską prywatyzację, likwidację milionów miejsc pracy, likwidację jakiegokolwiek polityki społecznej i socjalnej, brak jakiegokolwiek wsparcia dla rodzimego kapitału, rolnictwa i powstających jak grzyby po deszczu polskich firm. W sposób skrajnie nieodpowiedzialny, który ociera się o Trybunał Stanu zafundowano Polsce bezrobocie szlusujące długo do poziomu 20%, ogromne rzesze ludzi ubogich i wykluczonych, rozkradnięcie majątku narodowego i likwidację tysięcy polskich

przedsiębiorstw. Wszystko to za sprawą zarówno mirażu zachodniego bogactwa, jak i określonych wpływów obcego kapitału i sił politycznych, które w Polsce widzieć chciały nie konkurenta na mapie Europy, ale tanią montownię oraz rezerwuar jeszcze tańszej siły roboczej. Rozchwianie rynku pracy i strach przed biedą oraz bezrobociem, które w latach 90-tych spędzało sen z powiek milionom naszych rodaków wpłynęły na trudny do przeszacowania wzrost wyzysku i zwykłej społecznej niesprawiedliwości.

Wmawia się nam, że tak trzeba było, że nie było innej możliwości, że była to trudna, lecz konieczna droga cierniowa prowadząca do odkupienia win socjalizmu. Jak dziś można to już śmiało stwierdzić istniały jak najbardziej inne drogi, a przyjęcie rozwiązań z myśli thatcheryzmu czy reaganizmu (w sumie to ten sam zdehumanizowany neoliberalizm) dla tak zacofanego państwa jak ówczesna Polska musiało się skończyć katastrofą. Zresztą, nawet na bogatym zachodzie reformy te doprowadziły do wzrostu bezrobocia, biedy i nierówności społecznych. Polityka protekcjonizmu, wsparcia socjalnego szerokich warstw społecznych czy postawienie w pierwszej kolejności na rodzimy kapitał i wytwórczość były możliwe, a jedynym powodem, dla którego nie stało się to, były decyzje klasy politycznej i ekonomicznej. Ludzie ci na reformach szarlatana Balcerowicza dorobili się wprost bajecznie, stąd oczywiste, że do dziś Balcerowicz owiany jest, nawet na lewicy, nimbem wielkiego ekonomisty i zbawiciela Polski. Biedne dzielnice Łodzi, które do dziś cierpią skutki jego „zbawczości” czy właściwie cała ściana wschodnia o tym panu miałyby zapewne jednak zgoła inne zdanie.

Skutki reform roku 1989 odczuwamy do dziś. Niski stan zamożności, całe pola biedy na mapie Polski, a nade wszystko ogromne uzależnienie Polski

od zachodniego kapitału i koncernów – dziękujemy towarzyszowi Balcerowicz! („czemu towarzyszowi ?!” ktoś się spyta? Wystarczy sprawdzić życiorys tegoż pana przed 1989 rokiem). Polska jest w 20-stce krajów z największym poziomem drenażu własnego kapitału, ogromne koncerny i banki nie płacą złotówki podatku do polskiego budżetu, a likwidacja problemu bezrobocia nie wynika z geniuszu polskiego kapitału, ale z ucieczki (tak! Właśnie ucieczki – przed biedą i wykluczeniem) prawie 3 milionów Polaków i Polek do krajów Unii Europejskiej po akcesji w 2004 roku.

Najwyższa już pora, żeby polski nacjonalizm zrzucił jarzmo korwinizmu, przestał powoływać się na Misesa i jemu podobnych liberałów, ale jasno i w zgodzie z narodową doktryną określił swoje stanowisko wobec neoliberalnej rewolucji roku 1989 i lat następnych. Rewolucja ta przyniosła systemowe i strukturalne problemy, tak ekonomiczne jak i mentalne oraz ideologiczne, których skutki w skali *makro* odczuwamy do dziś.

Bezrobocie czyli hańba 3 RP

Poza rzucanymi tu i ówdzie frazesami, polski nacjonalizm rzadko odnosi się do tego jakże wstydliwego problemu Państwa Polskiego. Jednym z efektów rewolucji neoliberalnej roku 1989 było wytworzenie masowego bezrobocia, które jak już wspomniałem dochodziło w pewnych momentach do 20% w skali całego kraju. To znaczy, że co piąty dorosły Polak pozostawał bez utrzymania. Skutek ten zresztą nastąpił absolutnie we wszystkich krajach dotkniętych w latach 70-tych i 80-tych wirusa neoliberalnej choroby. W zachodnich Niemczech z bezrobocia poniżej 1%

(sic!) udało się dojść po kilku latach do prawie 10%. Z czego to wynika? Nie tylko z ogromnego poluzowania zasad rynku pracy, wprowadzenia nieludzkiego rozwiązania tzw. „elastycznych form zatrudnienia” etc. Bezrobocie bowiem nie było wyłącznie skutkiem działań liberałów. Było ono – pora to powiedzieć wprost – także ich celem. Dlaczego? Po pierwsze w latach 70-tych popularny w Europie model państwa opiekuńczego i generalnie rosnący dobrobyt oraz malejące nierówności społeczne i majątkowe zaczęły doprowadzać do sytuacji, w której na horyzoncie rysowała się możliwość całkowitej i oddolnej zmiany systemu ekonomiczno-społecznego, czyli likwidacji kapitalizmu i uspołecznienia środków produkcji (nie mylić z upaństwowieniem). Elementem tego była między innymi niezwykle silna pozycja ludzi pracujących, bardzo wysokie uzwiązkowienie i ogólnie status oraz siła związków zawodowych czy rekordowo niskie bezrobocie. To powodowało wysoką pozycję przetargową pracowników wobec pracodawców i systemu politycznego. Elementem złamania tego były całe pakiety antynarodowych reform, jak wspomniane wyżej. Warto powiedzieć także o powszechnej praktyce osłabiania prawnej siły związków czy praktyczny i szybki spadek członków tychże. Polska po roku 1989 doświadczyła absolutnie wszystkich tych elementów. Celem było stworzenie „rezerwowej armii kapitału”, czyli cały czas czyhającej na pracownika groźby utraty zatrudnienia. Tym większa jest ona, im powszechniejsze są umowy śmieciowe czy popularny jakże w obecnych czasach outsourcing. Ten ostatni to ogromny problem, gdyż niszczy wszelką pewność zatrudnienia, powoduje całkowity brak identyfikacji społecznej ze swoją pracą i miejscem pracy, ponadto służy do szerokiego wyzysku pracownika. Tym bardziej dla nas hańbiące jest to, że ogrom instytucji i firm publicznych korzysta z tej formy zatrudnienia, jak chociażby szpitale czy urzędy. Litry atramentu już wylano na ten temat, choćby na łamach „Nowego

Obywatela”, gdzie temat i bezrobocia i samego outsourcingu omawiany był wiele razy na konkretnych przykładach. W publicystyce nacjonalistycznej generalnie brak tego tematu, zwłaszcza w kwestii jego genezy i społecznych skutków. Tworzenie się wysp biedy i pokoleniowość ubóstwa, które jest dziedziczone razem z bezrobociem i brakiem perspektyw to chociażby praktyczne elementy wynikające z polskiego bezrobocia. Ale o to właśnie w neoliberalizmie chodzi! Żeby polski pracownik czuł presję popadnięcia w taki stan i przez to był potulny, posłuszny, porzucił ową słynną „roszczeniowość”. Przecież na wszystko trzeba zapracować, nic nie dostaje się za darmo a brak pracy wynika wyłącznie z lenistwa i dobrowolnej patologii. No chyba, że ktoś urodzi się w bogatej rodzinie uwłaszczonej na reformach Balcerowicza, to wtedy nie. Ot, neoliberalna symetria.

Naszym obowiązkiem jest nie tylko ustosunkowanie się do bezrobocia i to nie w liberalny, kapitalistyczny sposób, ale nacjonalistyczny, czyli pora uznać wreszcie bezrobocie za wytwór i to celowy systemu 3 RP oraz za czynnik wysoce antynarodowy. Drugim etapem jest wytworzenie programu naprawczego, zwłaszcza w kontekście sprowadzania ogromnych rzesz pracowników ze wschodu i Azji czy faktu, że nadal kilka milionów Polaków przebywa na przymusowej emigracji zarobkowej.

Specjalne strefy wyzysku

Jednym z rzekomych wielkich osiągnięć 3 RP są Specjalne Strefy Ekonomiczne. Mają one zwiększać poziom inwestycji zagranicznych, zmniejszać bezrobocie, likwidować biedę. Także nacjonaści, jeśli już łaskawie zajmą się tym tematem, pieją zwykle z zachwytu nad polską

przedsiębiorczością i zaradnością. Rzeczywistość wygląda zgoła inaczej. Nie ma żadnych rzeczowych danych, które świadczą, że inwestycje nie miałyby miejsca, gdyby nie strefy. Praktycznie wszystkie badane zagraniczne koncerny, które zainwestowały w polskich specjalnych strefach i tak to planowały, a zwolnienia podatkowe nie były dla nich ani decydującym elementem ani podniętą. Decydowała możliwość wykorzystania taniej siły roboczej oraz przewidywana chłonność lokalnego rynku.

Co jest złego w specjalnych strefach? Przede wszystkim odpływ kapitału i niepłacenie podatków przez inwestorów. Pozwalamy za przysłowiowy „frajer” żerować w biedniejszych regionach na taniej sile roboczej – która tak się składa, że także stanowi część naszego Narodu. Ponadto znamy szereg wypadków posuniętego do skrajności wyzysku, jak chociażby w fabrykach samochodów na południu Polski. Znowuż „Nowy Obywatel” opisywał wypadki związane z wystawieniem sztuki teatralnej poruszające temat wyzysku w jednym z takich miejsc. Firma, która za tym stała (światowy potentat) dzięki korupcji i wpływom w szeregu finansowanych przez siebie instytucji politycznych i kulturalnych, wymogła odwołanie premiery sztuki, a samego autora scenariusza zmuszono do odejścia z firmy. Okazuje się, że w takich specjalnych strefach to określone zagraniczne firmy i koncerny stanowią prawo i decydują o lokalnym układzie sił, co komu wolno, a czego nie. To sytuacja już wysoce patologiczna, bo wpływa jednoznacznie na zakres działania państwa i jego służb oraz administracji.

Prekariat i wykluczenie

Idee mają swoje konsekwencje, jak mówi znane metapolityczne przysłowie. Stąd też neoliberalizm także ma swoje liczne konsekwencje (część już wymieniliśmy powyżej). Między innymi światowym skutkiem doktryny wolnorynkowej jest wykształcenie się społecznej klasy *prekariatu*. Jest wiele definicji tejże, dla nas ważne jest by stwierdzić, że prekariat wiąże się ze zjawiskiem „biednych pracujących”, osób pracujących na umowach śmieciowych, czyli nieposiadających pewności i stałości zatrudnienia, zwykle są to ludzie pracujący za niskie stawki, bez zdolności kredytowej, przywiązania do zawodu i miejsca pracy. Tworzy to, podobnie jak i inne procesy systemu neoliberalnego, szerokie grupy osób wykluczonych. Pewnie teraz sporo narodowczyków i pipi-prawiców wyszczerzy dziewiczego wąsa, widząc termin „wykluczeni”. Oczywiście nie chodzi mi o żadne nowotwory lgbt. Chodzi mi o ludzi, którzy społecznie zostali postawieni poza marginesem społeczeństwa. Zbyt biednych, zbyt opuszczonych, zbyt niepotrzebnych rządzącemu kapitałowi. Ludzie ci rzadko są wspomniani przez media, chyba, że jako „patologia”, która bezczelnie wyciąga roszczeniowe ręce po uczciwie zapracowane pieniądze klasy średniej i oligarchii. Co gorsza, tak samo jak głównonurtowe media i publikatory nie wspominają o wykluczonych, tak samo coraz bardziej zainfekowana korwinizmem-liberalizmem polityczna reprezentacja „narodowców” też nie wspomina o milionach ludzi, których 3 RP się *de facto* wyrzekła. Mówię tu o ludziach, którzy pracowali w jedyńskich zakładach, jakie były pracodawcami w ich miejscowościach. O ludziach, którzy trafili w spiralę zadłużenia, strukturalnego bezrobocia, ludzi za starych i zbyt „nieprzydatnych” by jakkolwiek polityk chciał walczyć o ich praw. Mówię o lokatorach z czynszowych kamienic, o samotnych matkach, o ludności wsi i małych miejscowości. To nie jest drogie kuce i narodowczyki żadna patologia, ale Wasi rodacy.

Polska myśl narodowa nie posiada praktycznie żadnych postulatów, jak ludzi tych „przywrócić” na łono społeczeństwa i wyrwać z marginesu, na którym tkwią. Tu nie chodzi o liberalne brednie pokroju „dajmy wędkę a nie rybę”, czy postulaty likwidacji ZUS-u i podatków. Tu chodzi o strukturalne projekty zmian, które dotyczą praktycznie każdego ważniejszego elementu tego państwa, poczynając od sposobu myślenia i kategoriach poznawczych, jakich używa się w polityce.

Z prekariatem także jesteśmy daleko w tyle. Bieda i bycie członkiem tej grupy, którą wytworzył kapitalizm, to nie wina braku umiejętności, lenistwa, głupoty etc. To wynik systemowego traktowania ludzi w sposób pozbawiony godności i szacunku do drugiego człowieka. To efekt królowania systemu, gdzie człowiek jest takim samym towarem jak komputer czy telefon, a optymalizacja kosztów i pogoń za zyskiem są głównymi determinantami. Traci na tym prekariat, traci cały Naród – niestety na doktrynalne i aksjologiczne błędy neoliberalizmu najwięcej propozycji środków zaradczych mają lewicowcy, anarchiści, socjaliści..ale nie nacjoniści. Smutne to i przykre, gdy ludzie odwołujący się pod względem wartości do wspólnoty narodowej, nie posiadają praktycznie żadnych postulatów, jak polepszyć życie tej jakże dużej i pomijanej w dyskursie grupy społecznej.

Wieś i rolnictwo

Nacjonalizm to dziś głównie domena terenów miejskich i nie dziwi nas, że w myśli narodowej praktycznie pomija się temat wsi i rolnictwa. Oczywiście, przy okazji protestów Agrounii pojawiło się parę postów na facebooku, a paru karierowiczów nawet zadeklarowało poparcie Agrounii,

aby też zdobyć sobie popularność. W praktyce jednak nacjonalizm *per se* nie interesuje się tematyką wiejską i rolniczą – a to błąd, i to bardzo duży.

Właściwie nie ma sensu chyba mówić o tym, jak ważne jest rolnictwo. Kwestia produkcji żywności, zapewnienia państwu samowystarczalności to kwestie wręcz podstawowe. Tym bardziej więc wprawia nas w osłupienie to, w jaki sposób potraktowano wieś i rolnictwo po roku 1989. Generalnie linia polityki w tym zakresie nie różniła się specjalnie od ogółu poczynań ekipy rządzącej, odpowiedzialnej za neoliberalną rewolucję. Wieś i rolnictwo pozostawiono sobie, zlikwidowano całkowicie państwowe wsparcie i protekcję, uznano że warunki wolnej konkurencji będą najlepszym, co może spotkać polskiego rolnika. Stanął więc on do walki z rolnictwem Unii Europejskiej, szeroko dotowanym i wspieranym przez Unię. I walkę ta przegrał, a porażkę tą władza wzmocniła jeszcze likwidacją PGR-ów. W efekcie dramatycznie zmniejszyła się przez ostatnie 30 lat polska produkcja rolna, zwiększyła w tym aspekcie stopa zależności od obcych firm, a także doszło do przejęcia przez zachodni kapitał sporej części polskiego przemysłu spożywczego.

Ponadto w temacie wsi warto zwrócić na funkcjonujące od 30 lat stereotypy, które są przede wszystkim efektem celowej i konsekwentnej polityki elit intelektualnych tego kraju. Wieś przedstawiana jest zawsze jako zacofana, uwsteczniona, ciemna, zabobonna, mało innowacyjna i wiecznie roszczeniowa. Rolnictwo to coś, do czego się wyłącznie dokłada i wielko miastowym „autorytetom” z uniwersytetów, Krytyki Politycznej, Codziennika Feministycznego czy Gazety Wyborczej nie jest owo rolnictwo potrzebne, stąd lewica i liberałowie powszechnie wsią gardzą, także za jej tradycjonalizm, oraz uważają że spokojnie można rolnictwo i

pokrewne mu działy gospodarki spisać na straty. Wszakże wolny rynek wszystko sam ustali, tak by było najlepiej, a narodowe podejście do ekonomii i pracy to „archaizm”. Zupełnie jak byśmy słyszeli... niejednego narodowca zaczytanego w Korwinie, Misesie czy Gwiazdowskim, prawda?

W jednym z tekstów „Nowego Obywatela” stosunek sprostytuowanych elit intelektualnych 3 RP do wsi nazwano wręcz *rasizmem*. I chyba po raz pierwszy „Szturm” zgodzić musi się z zarzutami wobec kogoś o ten czyn. Ludność wiejską traktuje się w maksymalnie stygmatyzujący i wykluczający sposób, co ma realne przełożenie na reprezentację ich interesów w polityce, przestrzeni publicznej etc. Jednocześnie zaś rozpatrując całość zagadnienia z czysto nacjonalistycznego punktu widzenia, to ludność wiejska zdecydowanie pod wieloma względami góruje nad mieszkańcami dużych miast. Niestety, ani media ani nacjonaści nimi się nie interesują, wszakże ciężko na takim działaniu zbić upragniony elektorat. A podstawowe kwestie: jakie gałęzie rolnictwa objąć szczególną promocją, jak chronić interes polskiego rolnika, jak wpływać na rozwój (także technologiczny) polskiej wsi i wspomagać także ekologię na tych terenach nie znajdują praktycznego rozwiązania wśród nacjonalistów.

Służba zdrowia

Służba zdrowia to autentyczny temat-rzeka. Rozpatrując go ciężko nawet ustalić od czego zacząć. Czas oczekiwania na zabiegi i przyjęcie do specjalisty lub do szpitala? Niedostępność wielu zabiegów i leków? Zapracowani lekarze, którzy potrafią z przepracowania umrzeć a z powodu niskich zarobków po studiach wyjechać na zachód? Bałagan

administracyjny, brak konceptu na służbę zdrowia i poprawę jej stanu? Naprawdę dużo jest powodów i punktów, w których krytyka stanu służby zdrowia w 3 RP to obszerna sprawa. I nie tylko publicznej, badania wykazują, że opinie co do jakości leczenia, stosunku lekarzy i placówek do przychodni etc. są bardzo podobne tak w służbie zdrowia publicznej, jak i prywatnej.

Powody złego stanu naszej rodzimej służby zdrowia są złożone. Wpływa na to zarówno jej niedofinansowanie, biurokracja, zacofanie uczelni i procesu wdrażania lekarzy do zawodu, wszelkie patologie liberalizmu 3 RP. Zasadniczym dla nas pytaniem jest przede wszystkim jak temu zaradzić? Zakładamy przy tym, że chcemy wyjść poza populistyczne bzdury i postulaty prywatyzacji służby zdrowia, likwidacji składek zdrowotnych lub po prostu często słyszane stwierdzenia „będzie lepiej, jak się tym zajmiemy”. Niestety, tu także brakuje nam elementarnych postulatów, czy znajomości tej jakże skomplikowanej tematyki. A przecież poziom usług medycznych w prosty sposób przekłada się na poziom życia całego Narodu, średnią długość życia, także na ekonomię czy poziom zadowolenia. Tymczasem w optyce narodowej to kolejny temat, gdzie nas po prostu nie ma.

Niepełnosprawni

Jedną z grup społecznych szczególnie potrzebujących wsparcia oraz najmocniej odczuwających wykluczenie, także publiczne są niepełnosprawni ich opiekunowie. Temat znowuż rozległy, jednak warto o nim wspomnieć. Osoby niepełnosprawne nie tylko traktowane są niczym kompletnie niepotrzebne, ale także nasze państwo łożące na lewo

i prawo pieniądze na jankeskich okupantów, skąpi jakichkolwiek podwyżek głodowych zapomóg i wsparcia dla niepełnosprawnych i tych, którzy się nimi zajmują. Ma to sens w kontekście neoliberalnego paradygmatu – tam gdzie najważniejsza jest harówka, wyzysk i zysk, niepełnosprawni jako osoby nie wpadające w te kategorie, po prostu są niepotrzebne politykom. Ewentualnie przypomina sobie o nich opozycja, raz z PiSu, raz z PO, gdy trzeba „pogrillować” rządzącą akurat partię. Tymczasem lewica czy anarchiści rozwinęli szeroką akcję wsparcia protestu tychże osób, jak również przedstawiają określone propozycje zmian prawnych. Gdzie tymczasem jest w tym wszystkim myśl narodowa? Na zmianę atakowała matki osób niepełnosprawnych z cytowaniem skandalicznych wypowiedzi niejakiego Bawera, gwiazdy naszej pipi-pawicy. Tenże pan, sam ciężko dotknięty niepełnosprawnością, w maju zeszłego roku udzielił kilku wypowiedzi publicznych w temacie zaostrożających się wówczas protestów rodzin osób niepełnosprawnych na terenie Sejmu. W ramach tychże wypowiedzi stwierdził m.in.:

„Protestujący w Sejmie doprowadzą do demoralizacji”

„ [...] uważam też, że nie powinni przyznawać tych pieniędzy [tj. zwiększonych świadczeń pieniężnych]. Po pierwsze dlatego, że doprowadzi to do demoralizacji.”

„Po drugie spowoduje to, że niepełnosprawnym nie będzie się opłacało pracować.”

„ [...] ten protest to przede wszystkim upolityczniona akcja grup lewicowych”

„Rozdawnictwo pieniędzy kojarzy mi się z socjalizmem i do niczego dobrego nie prowadzi.”

Poziom bezczelności i kapitalistycznej impertynencji wprost razi z tych cytatów. Oto Bawer, sam nie będący polskiego pochodzenia, rości sobie prawo do mówienia polskim niepełnosprawnym i ich opiekunom, że nie należy im się wsparcie finansowe, że są socjalistami, partyjniakami i – to już naprawdę gruba przesada – że jeśli dostaną wsparcie, to nie pójdą do pracy (sic!). Okazuje się, że bieda i ubóstwo to wspaniałe narzędzia neoliberalizmu, aby nawet niepełnosprawnych zmuszać do wykonywania poleceń kapitalistów i polityków. Do tego przyjmowanie pieniędzy zdemoralizuje niepełnosprawnych. Nie ohydna polityka tego państwa, ich instrumentalne traktowanie przez wszystkie siły polityczne, nie społeczne wykluczenie ich demoralizuje – demoralizuje ich to, że państwo mogłoby jakkolwiek zwiększyć świadczenia pieniężne dla nich. Doprawdy ciężej o bardziej jaskrawy, a jednocześnie odrażający, przykład neoliberalnego zdehumanizowania. Ludzie, którzy dotknięci są ciężkimi chorobami, żyją niejednokrotnie na granicy skrajnego ubóstwa, nie mają systemowego i komplementarnego wsparcia – ale i tak mimo to traktowani są przed Bawera jako „roszczeniowcy” i „nieudacznicy”. I to w sytuacji, w której sam Bawer jeździ na wózku. Drodzy narodowcy, pora zerwać z takimi „autorytetami”, przy których nawet Urban i Pawłowicz to królowie taktu i wysublimowania, i zrozumieć prostą prawdę – nacjonalizm będzie społeczny lub nie będzie go wcale. A same cytaty Bawera pozwolę sobie skwitować odautorsko cytatem ze skądinąd świetnego filmu:

„Nie ma w słowniku ludzi kulturalnych słów, które mogłyby dostatecznie obelżywie określić pańskie postępowanie.”

Na marginesie dodać warto, że w dobie coraz większej liczby osób dotkniętych chorobami psychiatrycznymi, problemami psychologicznymi temat ten w myśli narodowej w ogóle nie istnieje. Lewica, zwłaszcza ta niszowa, mówi o tych rzeczach, dotyczących milionów Polaków i Polek coraz głośniejsze i śmiejsze. Porusza kwestie metod leczenia, wsparcia takich osób, walki z ich stygmatyzacją etc. Pora przestać chować głowy w piasek, ale w końcu też zająć stanowisko w tym temacie.

Kobiety – bohaterki przemilczane

Temat kobiet swego czasu poruszyłem w jednym tekście, za co do dzisiaj paru mizoginów mnie nie lubi. Pozdrawiam was serdecznie chłopaki, a w punkcie poniższym znów pozwolę sobie powrócić do zagadnienia. Otóż nie ulega wątpliwości, że poza tematem aborcji i żeńskich końcówek nazw zawodów tematyka kobieca zawiera dużo więcej problemów. Nierówności płacowe, zjawisko pokoleniowej biedy (choćby na przykładzie wspomnianej wyżej Łodzi), kwestia stosunku prawnopłacowego do pracy kobiety w gospodarstwie domowym i w ramach opieki nad dziećmi – to są konkretne i realne zagadnienia, które omawia obecnie głównie znowuż społeczna lewica (liberalna bowiem lewica zatrzymała się na etapie „czarnych protestów”). Pora, żeby nacjonałiści potrafili przyznać pewne rzeczy – ten system ekonomicznie czy społecznie dyskryminuje kobiety, a liberalną nagonką stara się im wmówić, że wszystkiemu winna jest tradycja, Kościół, faszyści i zakaz aborcji. W kwestii rodziny mamy doskonale świadomość, że jest ona rozmontowywana, dopiero co Krytyka Polityczna twierdziła, że nie istnieje coś takiego jak tradycyjny model rodziny. Jednak czy posiadamy realne postulaty jak chronić rodzinę i

przywrócić jej należne miejsce w Narodzie i społeczeństwie? Nie mówię tu o gardłowaniu przeciwko ofensywie lgbt, ale o konkretnych pomysłach ekonomicznych, prawnych, systemowych. O opiece w wieku przedszkolnym, o edukacji, o wsparciu rodzin i zapewnieniu im spokojnego i bezpiecznego bytu. Co proponują nacjonaści? Czy posiadają jakiegokolwiek kontry-postulaty dla rządowego programu 500+? Oczywiście nie, a jedynym co zazwyczaj potrafią powiedzieć, to że program ten jest socjalizmem, oraz trzeba zmniejszyć podatki. W ogóle przy okazji tego ostatniego postulatu liberałowie i coraz bardziej przez nich sterroryzowani narodowcy nie precyzują o kogo chodzi. Wszystkim zmniejszyć? Otóż przede wszystkim chodzi o najbogatszych. Krótko mówiąc, narodowcy którzy zwykle sami do elity finansowej i społecznej nie zaliczają się, gotowi są walczyć o jeszcze większe bogactwo Kulczyków, Solorzów i Urbanów. Wielce to symboliczne. Nie ma co wspominać o tym, że znowuż narodowcy wraz z liberałami coraz bardziej popadają w krytykę opodatkowania wielkiego kapitału, koncernów etc. Wyzysk polskiego pracownika i drenaż polskiego kapitału ich już niewiele obchodzi.

Wracając już do samych kobiet, to stwierdzić trzeba, że temat ten na dobre już wszedł do publicznej dyskusji. Zadaniem dla nas jest stworzenie przeciwwagi o narodowym charakterze dla postępującej liberalizacji tego zagadnienia. Tymczasem w kwestii nacjonalistycznego stosunku do wielu z powyższych aspektów ciężko w ogóle cokolwiek powiedzieć, bo po prostu te tematy nie funkcjonują w naszym dyskursie. Nie mamy realnych postulatów, krytyki czy jakiegokolwiek próby uchwycenia tej materii w ramach optyki nacjonalistycznej. A to bardzo poważny błąd.

System emerytalny

Żarty z ZUS-u są wśród Polaków jednymi z chyba najbardziej rozpowszechnionych. Jest to trochę na zasadzie osławiania niezwykle przykrego zjawiska, jakim są w Polsce wysokości emerytur. System nasz będący pozostałością po PRL-u oraz wynikiem reform koalicji AWS-UW niestety nie gwarantuje generalnie rzecz biorąc godziwego i spokojnego życia naszym emerytom. Wynika to z szeregu czynników jak choćby niski przyrost demograficzny, masowa migracja czy odpływ polskiego kapitału z kraju. Nie ulega wątpliwości, że system ten wymaga w ogromnym stopniu reformy i zupełnie nowego podejścia oraz rozwiązań. Tutaj pojawiają się pewne przebłyski w postaci pojedynczych postulatów niektórych działaczy narodowych, jednak niestety główny problem jaki poruszam w tym tekście, także w kwestii systemu emerytalnego objawia się w swej pełni. Nie posiadamy recepty systemu emerytalnego ani żadnego określonego i spójnego programu na reformy. No, może poza jednym pomysłem powtarzanym przez niektórych jak mantra po pewnym liberale – „zlikwidować ZUS”. Ciężko uwierzyć, że taki bezrozumny populizm znajduje tak wielu chętnych by go powielać. Tu już nie chodzi o to, że ZUS realizuje świadczenia dla milionów Polaków, ale że postulat całkowitego urynkwienia systemu emerytalnego nosi znamiona zdrady stanu. Nie tylko dlatego, że jest nierealny, ale głównie dlatego, że w ręce kapitalistów, głównie zresztą zachodnich oddaje tak integralną sprawę jak emerytury czy renty. Przykład Chile, gdzie system taki zbankrutował na skutek wyprowadzania pieniędzy przez fundusze emerytalne do USA jest w moim mniemaniu ostateczny i rozstrzygający. W kraju tym emerytury *nolens volens* musiało przejść państwo.

Jaki więc system emerytalny? Oparty o jakie kryteria? Emerytura jednoczęściowa czy wieloczęściowa, gwarantowana emerytura obywatelska, a może jeszcze inne rozwiązanie? Najwyższa już pora, żeby w ramach planu całkowitego i strukturalnego przebudowania naszego państwa, środowisko nacjonalistyczne także wypracowało zręby postulatów dotyczących systemów emerytalnych.

Klimat, przemysł, ekologia

Kwestia klimatu, przemysłu, energetyki i skomplikowanych związków między nimi to kolejny bardzo szeroki temat. Coraz szersza jest też o tym dyskusja publiczna, której ton nadaje (znowu) wyłącznie lewica i liberałowie. A mówimy tu o globalnych zjawiskach, których znaczenia nie da się przecenić. W jednym z poprzednich numerów „Szturmu” znalazły się osobne teksty na ten temat, stąd tu raczej skupię się na rekapitulacji wniosków i podsumowania stanu myśli narodowej wobec tych zagadnień.

Tak więc ustalmy najpierw kilka podstawowych faktów:

- Kryzys klimatyczny jest faktycznym zjawiskiem, które trwa od szeregu lat. Wywołane jest przez gwałtownie rosnące stężenie CO₂ w atmosferze, co powoduje nagrzewanie się ziemi, powietrza i oceanów. W efekcie zwiększa się temperatura i pogarszają warunki do życia na całej planecie. Kryzys klimatyczny jest zjawiskiem potwierdzonym empirycznie i opisanym w setkach prac naukowych.
- Kryzys klimatyczny ma pochodzenie antropogeniczne, tj. ponad 90% emisji CO₂ na Ziemi jest pochodzenia ludzkiego. Głównymi polami

ludzkiej działalności, które powodują emisje CO₂ są: energetyka oparta o paliwa kopalne, przemysł, hodowla zwierząt oraz transport.

- Skutki kryzysu już teraz są odczuwalne. Potęgować się to będzie w przyszłości.
- Wbrew kłamstwom i manipulacjom prawicy skutki kryzysu klimatycznego będą katastrofalne dla człowieka, bez względu na region geograficzny planety. Negatywne oddziaływanie zmian klimatycznych odbije się na naszym zdrowiu, ekonomii, rolnictwie, poziomie wód czy transporcie i logistyce.
- Pomimo szerokiej dyskusji międzynarodowej nie podjęto do dziś żadnych realnych działań zmierzających do ograniczenia emisji CO₂.
- Kryzys klimatyczny wiązany jest z ideologią liberalizmu i kapitalizmu, który przez dążenie do zysku za wszelką cenę oraz przez ogromną nadprodukcję w wydatny sposób zwiększa ilość CO₂ w atmosferze.

Literatura naukowa i popularnonaukowa w tej tematyce jest niezwykle szeroka, także dostępna w Internecie, więc wychodzę z założenia, że każdy zainteresowany dotrze do interesujących go analiz. Dla nas najważniejszym stwierdzeniem jest już wspomniany fakt absolutnego odpuśczenia udziału w dyskusji nad tym tematem przez środowisko narodowe. Wspominaliśmy już na łamach „Szturmu”, że wśród prawicy spora część osób w ogóle „nie wierzy” w kryzys klimatyczny. To zresztą bardzo źle świadczy o naszej formacji intelektualnej. Z jednej strony mamy setki, a wręcz już tysiące, prac naukowych, wyników badań, pomiarów i ekspertyz tworzonych na całym świecie. Z drugiej strony mamy Korwina – magistra filozofii, który znany jest głównie z absolutnej nieskuteczności politycznej, słabych anegdot, żenujących żartów i niemoralnego prowadzenia się. Nigdy nie napisał żadnego artykułu naukowego na ten temat (podobnie jak na każdy inny temat, o którym wypowiada się), nie ma wykształcenia kierunkowego, nie prowadził

badania w tym obszarze. Mimo to niejeden narodowiec przedkłada jego „prawdy” i wynurzenia nad autorytet setek naukowców. To już nie jest żenujące, ale zwyczajnie smutne.

Zasadniczy problem polega na tym, że dyskusja nad problemem kryzysu klimatycznego absorbuje uwagę coraz większej ilości środowisk i opcji ideologicznych. Poza nacjonalistami. Krótko mówiąc myśl narodowa czasów obecnych nie poczytuje za właściwe ustosunkować się jakkolwiek do być może największego wyzwania i zagrożenia naszych czasów. Jeśli już to robi zaś to często neguje jego istnienie. Czym w tym wypadku można oczekiwać, że przeciętni obywatele będą nacjonalizm traktować poważnie? A sami nacjoniści? To być może retoryczne pytania, w dodatku już zadane przeze mnie czy kolegę Ratajskiego w poprzednich numerach, jednak w dalszym ciągu nie widać, by powstała z tego realna refleksja wśród polskich nacjonalistów.

Nacjonalizm społeczny

Przyznam na koniec tych rozważań, że nie planowałem aż tak długiego tekstu. Jednak jak widać wybrakowanie doktryny nacjonalistycznej jest obecnie tak duże, że wymaga ten problem określonej ilości elektronicznego atramentu.

Nacjonalizm to *ex definitione* ideologia modernistyczna, to jest taka która dostosowuje się do wyzwań przyszłości i patrzy przede wszystkim do przodu, a nie w historię. Niestety, o ile są pewne elementy które napawają optymizmem w obecnej sytuacji (mówię tu o polskim

nacjonalizmie), to niestety powyższa treść jednoznacznie określa błędy jakie popełniano i jakie popełnia się w dalszym ciągu.

Brak realnej recepcji i wykładni historii najnowszej po 1989 roku; brak programu i stanowiska w szeregu ogromnie ważnych tematyk; zacządzenie liberalizmem i politykierstwem, widoczne zwłaszcza wśród tej części środowiska narodowego, jaka „bawi się” w politykę; archaiczność i nieprzydatność idei narodowej w obecnym jej stanie dla Polaków i Polek. To z grubsza najważniejsze zarzuty dla naszej formacji.

A przecież przed wojną nacjonalizm, zwłaszcza po roku 1934, był na wskroś społeczny i nie tylko nie unikał potężnych problemów ówczesnej Polski, ale i formułował rewolucyjne i odważne sposoby na rozwiązanie ich. Taki sam musi być obecny nacjonalizm w kontekście doktryny, programu i samej ideologii. Nie patrzmy na słupek sondażowe, kolejne i coraz bardziej egzotyczne sojusze polityczne, salony i telewizje internetowe pipi-prawicowców. Spójrzmy na zwykłych ludzi. Na tych, którzy nie mają swoich wielkich koncernów, browarów, firm, ale tych którzy codzienną pracą starają się utrzymać siebie i swoje rodziny. Spójrzmy na wykluczonych i tych, którymi powszechnie z winy liberalnych elit się gardzi i pomiata. Spójrzmy na zło, wyzysk, biedę, rosnące nierówności społeczne – a także na źródła tych zjawisk. Nie dajmy się zacządzić liberalnej chorobie w jakiegokolwiek postaci. Wysłuchajmy opiekunów niepełnosprawnych a nie kalek moralnych, które ich wyzywają od socjalistów i partyjniaków. Posłuchajmy co mają do powiedzenia kobiety, a nie mizogini pokroju Korwina. Niech pracowników reprezentują syndykaty pracownicze i to ich słuchajmy, a nie „analityków” liberalnych think-tanków lub przedstawicieli Związku Pracodawców, „Lewiatanów” i innych antynarodowych klik. Niech o

katastrofie ekonomiczno-społecznej po roku 1989 mówią ci którzy ponieśli największe straty, niech opowiedzą o tym twarde wskaźniki bezrobocia i strukturalnej biedy, a nie brednie Balcerowicza czy Gwiazdowskiego.

Niech nacjonalizm przestanie się wstydzić, czy też brzydzić, pochylić nad zwykłym człowiekiem. Nie nad politykiem, tym czy innym celebrytą, który akurat chce się wybić na reklamie robionej mu przez nacjonalistów. Pochylmy się nad zwykłym Polakiem i Polką – albowiem to oni są naszymi rodakami, i oni najmocniej poczuwają się do walki o dobrobyt tego kraju i swej rodziny. Popatrzmy na pracowników na śmieciówkach, na bezrobotnych, na prekariat i tych, którzy nie odziedziczyli firmy i majątku, ale którzy gotowi są ciężko pracować za godziwa płacę – jeśli tylko otrzymają taką szansę. Popatrzmy na tych, którzy naprawdę potrzebują pomocy, bo nie są w stanie samodzielnie funkcjonować (niepełnosprawni, samotne matki). Te osoby nie oczekują od nas głoszenia herezji o niskich podatkach, powoływania się na społeczne i gospodarcze zbrodnie Thatcher czy Reagana. Ci ludzi po prostu potrzebują zwykłego wsparcia materialnego, jakiego żaden nacjonalista nie powinien im odmawiać – jeśli tylko faktycznie jest nacjonalistą.

Pozwolę sobie powtórzyć na sam koniec stwierdzenie, które już padło w tym tekście, ale jest ono *clou* naszych rozważań:

Nacjonalizm będzie społeczny, albo nie będzie go wcale.

Grzegorz Ćwik

Grzegorz Ćwik - Viva la muerte

Pochłonięci życiem, codziennymi obowiązkami coraz rzadziej patrzymy na otaczającą nas rzeczywistość w sposób syntetyczny. Coraz rzadziej stosujemy szerszą perspektywę, dziejowe spojrzenie na historię, politykę. *Nolens volens* przyjmujemy indywidualną perspektywę opartą o „tu i teraz” – tak jak i cały nasz parszywieński świat. Rozpatrujemy wszystko z punktu widzenia naszego interesu – bez znaczenia czy świadomie, czy podświadomie. To osobisty interes, strata, ewentualne korzyści lub koszty decydują o tym, jakich zadań się podejmujemy, jakie uznajemy za „niewykonalne”, a o jakich nawet nie chcemy myśleć.

Do diabła z tym! Naprawdę są rzeczy ważniejsze. W poprzednim numerze kolega Ostrogniew popełnił jeden z najlepszych tekstów w historii „Szturmu” – a może i najlepszy. Napisał o życiu, przeznaczeniu, tragicznej koncepcji ludzkiego żywota. Oraz o śmierci. O tym rzadko piszemy, nie mówimy, nie wspominamy. Tak jakby śmierci nie było. Wspominamy o niej przy okazji powoływania się na organizację „Życie i śmierć dla Narodu”. No i to tyle. Boimy się śmierci. To oczywiste – w tym do bólu indywidualnym świecie myślimy głównie o sobie, więc to jasne, że boimy się śmierci. Kryje się w tym paradoks, ponieważ każdy i każda z nas kiedyś umrze, więc czy jest sens bać się czegoś co i tak nastąpi? Jesteśmy nacjonalistami, czy wypada żyć w ten sposób? Mówimy o heroizmie, mówimy o tym, że Naród to żywi, martwi i nienarodzeni, więc nasza śmierć jest naturalnym elementem świata. No właśnie – mówimy. Polacy lubią mówić, lubią wielkie słowa, nad którymi tym mniej się zastanawiają, im słowa są większe. Mówimy o bohaterach, o tym jak walczyli i ginęli. I zazwyczaj niespecjalnie się zastanawiamy nad tym. Nad tym, że śmierć wcale nie oznacza końca. Nie chodzi oczywiście o życie danej osoby w sensie biologicznym. Chodzi o wartości dużo większe i

ważniejsze. O poświęcenie, przykład, pamięć, powinność. O to chodzi, że śmierć która idzie za złożeniem swego życia w ofierze, może dać natchnienie tysiącom, a nawet milionom. I to nie za rok, dwa, 10 lat, a za lat kilkadziesiąt czy kilkaset. Paradoksalnie śmierć może dać nieśmiertelność temu, który umiera – w sercach tych, którzy będą kultywować nieśmiertelną pamięć o nim.

Jesteśmy kim jesteśmy, stoimy przed określonymi zadaniami i wyzwaniem, które nałożyła na nas historia. Bywały przed nami większe i wspanialsze pokolenia, bywały jak sądzę i straszniejsze czasy. Dlatego też nie ma co specjalnie się rozczulać nad sobą. Jak swego czasu napisał Spengler:

„Optymizm jest tchórzostwem, urodziliśmy się w tej epoce i musimy dzielnie iść do końca drogą nam wyznaczoną. Nie pozostaje nam nic innego. Jest naszym obowiązkiem wytrwać na straconej pozycji bez nadziei i bez ratunku. Wytrwać jak ów rzymski żołnierz, którego szkielet znaleziono przed bramą w Pompei, a który zginął, ponieważ podczas wybuchu Wezuwiusza zapomniano odwołać go z posterunku. Oto wielkość, to się nazywa być rasowym. Ten honorowy koniec jest jedyną rzeczą, której nie można ludziom odebrać.”

Nie do końca się z nim zgadzam, jak najbardziej jesteśmy w stanie zepchnąć Historię na właściwe tory i wygrać to co jest do wygrania. Jest jednak niepodważalną prawdą, że idziemy drogą naszej epoki, tak jak nasi poprzednicy szli drogami swoich epok i czasów. Poniesiemy takie konsekwencje naszej walki, jakie będą konieczne. I śmierć tego czy innego człowieka wiele tu nie zmienia. Drobnomieszczańska obawa przed

śmiercią, przed wielkością, przed totalnością – oto czego powinniśmy się wystrzegać.

Nie bójmy się. Nasi przodkowie się nie bali.

W górskie i nieprzyjazne tereny jakże odległej Hiszpanii rzuciły ich przedziwne koleje losu. Dopiero co trzy ościenne państwa dokonały likwidacji ich ojczyzny, a teraz mieli udowodnić, że są godni by otrzymać ją z powrotem od owianego legendą wodza i cesarza. Kierowały nimi różne emocje i powody. Chęć przeżycia przygody, zdobycia sławy i wysokich szarzy. A przede wszystkim poczucie obowiązku i dziejowego momentu, który wymaga rzucenia serca za przeszkodę. Wszakże urodzenie i tradycje zobowiązują.

Tego dnia, którego mieli stać się legendą, pozycje hiszpańskiej artylerii atakowały kolejne jednostki francuskich sojuszników – bez skutku, natomiast z wieloma ofiarami. Nie tylko piechota, ale nawet jednostka gwardyjska (pułk strzelców konnych) została zmuszona do odwrotu. A przecież za pozycjami zdesperowanych Hiszpanów otwierała się droga do Madrytu i spodziewanego końca wojny w tym kraju!

Wzrok Cesarza spoczął na polskich szwoleżerach. Do dziś nie wiemy czy otrzymali rozkaz faktycznie zdobycia wszystkich stanowisk artylerii nieprzyjaciela, czy jedynie rozpoznania pozycji wroga. Nieważne, wielkiego znaczenia to nie ma. Polscy szwoleżerowie mieli świadomość i ciężaru zadania, jak i faktu, że bitwę ogląda sam Cesarz.

„Naprzód, psiekrwie, cesarz patrzy!” – takim rozkazem Kozietulskiego rozpoczęła się gonitwa polskich bohaterów ze śmiercią. Nie przestraszyli się jej, ale z obnażonymi szablami pocwałowali na jej spotkanie. Wbrew wszystkiemu i wszystkim, pod prąd wąwozem w twarz ognistym wiatrom! W wąwozie stały w równych odległościach cztery baterie hiszpańskiej artylerii. Cztery ziejące ogniem i żelastwem otchłanie. Zdobyli je wszystkie. Każda z nich zdążyła jednak wypalić. Każda z nich w skłębiony tłum pędzących na spotkanie przeznaczenia szwoleżerów posłała swój śmiercionośny pocałunek. Każda z nich powinna zatrzymać i rozbić szarżę polskich kawalerzystów.

Nie zatrzymały. Dumni synowie polskiego Narodu gnający przed siebie by gardła armatnie kolanami dławić nie stanęli do walki, by tchórzyc lub wycofywać się. Przybyli do Hiszpanii po wszystko – i wszystko gotowi byli za to zapłacić. Niech żyje śmierć! Do diabła z nią, przed nami przeznaczenie i wolność do wygrania, nikt nie będzie myślał w takiej chwili o tym, że może zginąć. Łatwopalny szwadron polskich szwoleżerów raz po raz omiatany był przez hiszpańskie działa powiem zagłady. Ale ci na przekór wszystkiemu gnali jeszcze szybciej, byle prędzej, byle nie dać tamtym czasu na przeładowanie, byle zwyciężyć. Zwyciężyli, choć cena tego była wysoka. Gotowi byli ją płacić od samego początku, a gdy los zechciał zweryfikować ich postawy zerwali się szturmem w Historię wprost do wieczności. Zanurzyli się po końskie brzuchy w nurt płynącej lawy i udowodnili, że są godni stanąć w jednym szeregu z Żółkiewskimi, Sobieskimi i Jagiełłami.

Przede wszystkim jednak rzucili Cesarzowi do stóp Madryt. Szarżę Polaków obserwowało wielu hiszpańskich żołnierzy. Ich wyczyn, który przeczył wszelkim prawom i regułom wojennym spowodował

niespotykany popłoch i załamanie morale hiszpańskiej armii, która po prostu się rozsypała. Madryt stał otworem. Polacy zaś dowiedli, że zasłużyli na wolność, a polska armia stanowi realną wartość dla napoleońskiej Francji. Bonaparte odtąd był już pewien, że na Polaków może liczyć w każdej sytuacji. Po okresie rozbiorów stanowiło to poważną poprawę w położeniu Polski i otwierało określone możliwości na przyszłość. To nie żadna „Kozietulszczyzna”, to świadomość, że własną krwią trzeba nieraz płacić za bezpieczeństwo i korzyści swego Narodu. To przeświadczenie, że pokazując jakże wówczas potężnemu francuskiemu sojusznikowi wartość polskiego żołnierza, zabezpiecza się byt swych rodaków w odległej Polsce. Oczywiście, Polska ta nie nazywała się Polską, była strasznie okrojona i biedna, ale jednak była. To znacząca poprawa do stanu sprzed kampanii 1807 roku. I obowiązek dostarczenia kontyngentu Napoleonowi do walki w Hiszpanii nie jawi się już jako coś straszliwego, jeśli weźmiemy uwagę, że po prostu krwią polskich żołnierzy okupialiśmy określone zyski polityczne. Czy inaczej jest na wojnie, gdzie bronimy się przed najeźdźcą? Akt ten, który generalnie poparła większość aktywnego politycznie społeczeństwa, wskazuje, że na przestrzeni ostatnich kilkuset lat były momenty, kiedy jako Naród w polityce posługiwaliśmy się faktycznie politycznymi kategoriami. Wszelkie reminiscencje krytykujące udział w tej wojnie pojawiły się dopiero w latach 30-tych i 40-tych XIX wieku, w pamiętnikach i wspomnieniach bohaterów tych wydarzeń. W listach, dziennikach i innych źródłach historycznych tworzonych na bieżąco nie ma takich refleksji. Ludzie walczący w Pułku Szwoleżerów, Legii Nadwiślańskiej i innych jednostkach polskich bijących się na Półwyspie Iberyjskim doskonale wiedzieli za co leją krew, za co umierają i ponoszą ofiarę. Przecież nie za imperialne interesy Francji – tak myśleć może tylko najbardziej zajadły konserwatysta z obozu wielomszczyzny. Ludzie ci bili się tylko i wyłącznie za Polskę. Wystarczy zajrzeć do listów

Kozietulskiego, po raz pierwszy opublikowanych przez Brandysa w książce „Kozietulski i inni”, by zrozumieć pobudki tych ludzi. Mając doskonale świadomość sytuacji Polski i Polaków byli gotowi zapłacić najwyższą cenę, byleby tylko zwyciężyć.

Dlatego właśnie w wąwozie Somosierry nikt nie miał wątpliwości, nikt się nie zawahał, nikt nie wycofał. Była tam za to zapalczywość, nieustępliwość, fanatyzm gotów znosić imperia. Niech żyje śmierć!

Bywa i tak, że los obarczy nas ogromną odpowiedzialnością a jednocześnie bagażem określonej tradycji i spuścizny. Bywa, że stoi za nami wiele przeszłych pokoleń, a od naszych decyzji zależy jeszcze więcej pokoleń, które przyjdą po nas. Gdy historia przyspiesza swój bieg zdarzyć się może, że będziemy postawieni przed wyborami o dziejowym znaczeniu, jednocześnie mając bardzo niewiele czasu do namysłu. Wówczas okazuje się, czy jesteśmy jak to napisał Spengler „rasowi”, czy też zaprzepaszczamy naszemu dziedzictwu oraz przekreślamy szanse następnych pokoleń. A przecież dając określony przykład, nawet za cenę swego końca, wpływamy w nie dający się przecenić sposób na przyszłość. To jakich bohaterów, którzy są integralną częścią kultury, posiada dany Naród czy etniczność, wpływa bardzo mocno na powszechnie przyjmowane i podzielane wzorce zachowań, to jakie decyzje się podejmuje i z jakiego powodu. Starczy wspomnieć pamiętany do dziś bohaterski opór Spartan w termopilskim wąwozie czy fakt, że na straży w Pompejach pozostali do końca rzymscy żołnierze. Być może ktoś zapomniał im wydać rozkaz odwrotu? A może do końca spełniali swój

obowiązek? Niewątpliwie jednak dla nas ważnym jest, że do dziś jest to dla nas punkt odniesienia.

Nie jesteśmy oderwani od przeszłości i przyszłości. Stoją za nami nasi przodkowie, którzy wykuli naszą cywilizację, tradycję i spuściznę. Przed nami są pokolenia naszych potomków, którym musimy przekazać to, co w nas najlepsze. Dlatego też bywa, że pewne nasze czyny określone są przez tak potężne determinanty, że chcąc pozostać wiernymi swej ziemi i krwi, po prostu nie mamy wyboru i robimy to, co do nas należy.

Kilka lat po szarży pod Somosierrą Europa wyglądała już inaczej. Cesarz powrócił, ale znów musiał bitwa po bitwie udowadniać, że jest „Bogiem wojny”. Po kilku pierwszych zwycięstwach przyszła pora, gdy na polach nikomu wcześniej nie znanej belgijskiej miejscowości miały się rozstrzygnąć losy Francji i całego kontynentu.

„Lecz cesarz dziś przegrywa bitwy już”.

Wieczorem pole bitwy było zasłane gigantyczną liczbą trupów. Odór śmierci, prochu i potu był wszechobecny. Dzięki pojawieniu się późnym popołudniem na polu bitwy wojsk pruskich szala zwycięstwa ostatecznie przechyliła się na stronę ostatniej koalicji antynapoleońskiej. Skrwawione i skrajnie wyczerpane korpusy francuskie wycofały się z pola bitwy, która kończyła właśnie ostatnią kampanię Napoleona.

Zanim jednak Wellington mógł ostatecznie uznać batalię za zakończoną, musiała dopełnić się Legenda.

Ostatni czworobok nie wycofał się. Złożony z tych, którzy z Cesarzem walczyli razem ponad 20 lat pozostał osamotniony pośród przeskrydlających go Anglików, pośród dymu i kurzu, pośród śmierci. Najwierniejsi z wiernych. Najwytrwalsi, najbardziej doświadczeni, najbardziej fanatyczni. Ci, którzy stanowili w kolejnych starciach ostateczny argument i najbardziej elitarną jednostkę.

Gwardia. I nie formowana naprędce Młoda Gwardia, ale zaprawieni w bojach żołnierze ze Starej Gwardii. 1 batalion 1 Pułku Strzelców Pieszych – absolutna elita elity. Osmolone twarze wąsatych wiarusów ze spokojem i bez strachu patrzyły na rozsypujący się front armii Napoleona, na ucieczkę kolejnych jednostek francuskich, na ogrom angielskich żołnierzy. Ludzie ci byli z Cesarzem od pierwszej jego kampanii we Włoszech. Przeżyli z nim wszystkie zwycięstwa, porażki, wszystkie trudy i znoje kolejnych kampanii. Teraz stali u kresu swojej epoki. Wraz z nimi był człowiek, na które barki Historia złożyła odpowiedzialność – nie za Gwardię, ale za Legendę, za Historię, za wspomniane wyżej bycie „rasowym”. Za bycie godnym stanięcia w jednym szeregu z dawnymi Bohaterami. Generał Pierre Cambronne był jednym z najlepszych dowódców francuskich, związanym od wielu lat z Gwardią. Nie bał się śmierci – gdy na oczach jego i jego żołnierzy ginął ich świat, świat ich Cesarza, czyż wypada myśleć wtedy egoistycznie o sobie?

„Poddajcie się waleczni Francuzi” – tak brzmiało najpewniej wezwanie do kapitulacji jakie usłyszeli gwardziści i dowodzący nimi Cambronne. Poddać się? Zaprzepaścić całą legendę Gwardii? Pozwolić podłym Anglikom i Prusakom chełpić się takim poniżeniem tych, którzy byli wręcz ikoną swego wodza i jego armii? Zgodzić się na takie upodlenie? Cambronne i jego wiarusi pomni antycznych tradycji wiedzieli doskonale,

że w takich chwilach jednostkowe życie jest ostatnim, o czym prawdziwi żołnierze powinni myśleć.

Zanim generał odpowiedział z pewnością się uśmiechnął. Po szelmowsku, zawadiacko, z błyskiem w oku. Rozumiał, że dotrzymuje wierności sprawie, wierności przysiędze, całemu swemu życiu. To było jego zwycięstwem. Nawet teraz, w takich okolicznościach nie da satysfakcji tym wyspiarskim diabłom.

„Gwardia umiera, ale się nie poddaje!” – odpowiedź jego do dziś jest pamiętana i powtarzana. Cambronne zrobił dokładnie to, co powinien był zrobić. Świadom tego, co już za chwilę miało się stać, dumnie patrzył w gardziele angielskich armat i równy rząd bagnatów wrażej piechoty. Mógł mieć pełną satysfakcję, że nawet w tej ostatniej chwili dochował wierności. Jeden z jego żołnierzy słysząc odpowiedź Cambronna dopowiedział równie głośno: „Merde!”. Podchwycili to inni gwardziści i zaczęli to tłumnie skandować. Wiedząc doskonale, że za chwilę wszyscy zginą, nie dali Anglikom złamać swego ducha i charakteru. Oto co znaczy być „rasowym” – wiedzieć, że się zginie i jednocześnie z uśmiechem na ustach, razem ze swymi towarzyszami, wykrzykiwać przekleństwa pod adresem nieprzyjaciela.

Huk kolejnych salw angielskiej artylerii zagłuszył wszystko inne. Kartacze lecące w ostatni czworobok Starej Gwardii zesłały na pole Waterloo to, czym czerwieniło się ono już od samego rana – śmierć i zagładę. Lecz nie złamały ducha dzielnych Francuzów. Żyje on do dziś i jednocześnie jest najbardziej znanym epizodem tej bitwy i kampanii. Wspominając o nim wręcz można mieć odczucie, że to Francuzi zwyciężyli. Jakkolwiek jestem zdecydowanym wrogiem tzw. „moralnych zwycięstw”, to w tym

konkretnym wypadku ciężko nie mieć przeświadczenia, że swą postawą Gwardia zwyciężyła, na przekór przebiegowi bitwy i kampanii.

Tysiące żołnierzy, rebeliantów i partyzantów na całym świecie pomne słów Cambronna walczyła i walczy o wolność, godność i dobrobyt swoich narodów i społeczności. Czy Cambronne mógł wiedzieć, że 100 lat po nim powoła się na jego słowa poeta Broniewski w obliczu wojny polsko-niemieckiej? Że w kolejnych wojnach francusko-niemieckich jego postawa będzie inspirować setki tysięcy jego rodaków? Zapewne nie pomyślał o tym w chwili gdy wypowiadał swe pamiętne słowa. Nie zmienia to w niczym faktu, że Cambronne zaśmiał się śmierci w twarz. Niech żyje śmierć! Niech żyje cesarz!

Wojna to polityka prowadzona innymi środkami – wszyscy znamy to stwierdzenie Clausewitza. A skoro polityka to chłodna i wyrachowana gra, bez spoglądania na emocje i sentymenty, to i na wojnie nie powinno być na nie miejsca. Tylko na wojnie walczą żołnierze, a nie politycy. Dlatego też powyższa zasada często gęsto nie ma żadnego zastosowania. A spośród wielu emocji i uczuć chęć zemsty jest jedną z największych.

Ponoć zemstą jest rozkoszą bogów. Oznacza, że pamiętamy, że pozostaliśmy wierni, oraz cierpliwi i wyczekujemy odpowiedniej chwili, by wyrównać rachunki. Oczywiście, podczas wojny prowadzonej honorowo zemsta nie ma miejsca. Tą chcemy wyrzucić kiedy przeciwnik zachowa się w wysoce odczłowieczony i nieludzki sposób. Wymorduje naszych jeńców, spali szpital z rannymi, będzie się pastwił nad ludnością cywilną. Wówczas już inaczej patrzymy na działania wojenne, na walkę i

wojnę. Chcemy nie tylko zwyciężyć, chcemy też dokonać zemsty. To jak najbardziej ludzkie uczucie. Tylko liberałowie patrzący na wszystko przez pryzmat interesów i pieniędzy mogą mówić, że człowiek nie powinien być pamiętliwy i mściwy. Cóż za bzdura! Pamięć i sprawiedliwość to fundamenty człowieczeństwa. Uznając, że ktoś może dokonać nieludzkiej zbrodni i nie odpowiedzieć za to byłoby wyrzeczeniem się całej ludzkiej cywilizacji.

Zemsta jest dobra i wskazana. Pokazuje, że wywierający zemstę jest silny, jest „rasowy”. Słabość i uległość zostawmy innym. Ponadto dokonując pomsty na zbrodniarzu uniemożliwiamy mu dokonanie kolejnych ohydnych czynów. Dlatego w chwilach gdy stajemy z takim nieprzyjacielem oko w oko, nie liczy się już to czy umrzemy, ale czy zdążymy wymierzyć sprawiedliwość. Najważniejsze jest by wyrównać rachunki swego ludu i swej ziemi, a nie by przeżyć. Są rzeczy ważniejsze od śmierci.

Pośród wielu słów wywołujących trwogę i strach w polskich sercach podczas tej wojny, jednym z najstraszliwszych była „Konarmia”. Legendarna formacja dowodzona przez Siemiona Budionnego siała zgrozę, popłoch i zniszczenie. Po półtora tygodniu walk udało się jej na początku czerwca przebić na tyły polskiego frontu (5 czerwca pod Samhorodkiem). Od tego momentu dokonywała wielu śmiałych działań i ataków na polskie pozycje. Oraz równie wiele, a może więcej, odrażających i niegodnych białego człowieka zbrodni. Regularne mordy na polskich jeńcach, szpitalach wojskowych i oddziałach tyłowych, grabieże i morderstwa cywili, gwałty – tym znaczył się szlak Konarmii. Co

ciekawe, mimo nimbu niezwycięzonej i straszliwej siły Konarmia nie była w stanie zrealizować żadnego strategicznego celu, jakie stawiało jej dowództwo Armii Czerwonej. Szarpała jednak nasze tyły, niszczyła szlaki zaopatrzenia a przede wszystkim zmuszała front do ciągłego cofania się. A jej bojowy szlak znaczyły wspomniane zbrodnie i ohydne czyny.

Za Konarmią podążała polska kawaleria. 1 Dywizja Jazdy złożona z kilku najbardziej elitarnych polskich pułków deptała po piętach sowieckim kawalerzystom od pierwszego dnia. Pomimo ogromnej przewagi liczebnej i materiałowej polscy kawalerzyści nie ustępowali pola nieprzyjacielowi, raz po raz w staczanych bitwach wykazując najwyższy wojskowy kunszt i charakter. Mimo to Konarmii nie udawało się rozbić. Dwa razy było już blisko – pod Równem a następnie podczas operacji pod Brodami. W obu jednak wypadkach Marszałek Piłsudski w obliczu sypiącego się frontu północnego zmuszony był zaprzestawać działań ofensywnych i przerzucać część jednostek pod Warszawę. Od połowy sierpnia karta w wojnie odwróciła się. Po kontrofensywie znad Wieprza polska armia przeszła do przeciwuderzenia. Konarmia zaś gnała na złamanie karku, aby zrealizować z opóźnieniem rozkaz Moskwy – pomóc bitym i niszczonej armii Tuchaczewskiego.

Za Budionnym całą czas prowadziła pościg 1 Dywizja Jazdy, dowodzona teraz przez płk. Juliusza Rómmla. Sowieci wychodzili raz po raz z opresji, bezustannie mając 1-2 dni przewagi nad goniącymi ich Ułanami i Szwoleżerami. Nie przypominało to wojny okresu XX wieku, ale napoleońską lub wręcz staropolską wojnę podjazdową. Tymczasem Naczelne Dowództwo czuwało nad sytuacją - pamiętano cały czas o Konarmii i gdy wreszcie na północy udało się uzyskać decydujące

rozstrzygnięcie, uznano że pora zakończyć harce sowieckiej kawalerii. Pora zemścić się.

Pod Zamościem Budionny zaczął rozumieć i czuć, że kordon obławy zaciska się wokół jego dywizji coraz bardziej. Najwyższa była już pora, żeby uznać, że przebijanie się na północ jest bez sensu (Tuchaczewski został już pobity) i trzeba starać się wycofać poza front – na wschód. I właśnie pod Zamościem Polacy dostali w końcu osławionych konarmiejców. Nie udało się Budionnemu zdobyć Zamościa i przebić przez miasto do reszty cofających się wojsk rosyjskich. Szukać musiał innej drogi – a ta wiodła przez pole Komarowa, gdzie ostatniego dnia sierpnia 1920 roku 1 Dywizja Jazda po 3 miesiącach w końcu dostała możliwość wyrównania rachunków.

31 sierpnia 1920 roku, kilka minut przed 17.

Rotmistrz Pragłowski przeżywał coraz większy wewnętrzny konflikt. Otrzymany kilka godzin wcześniej rozkaz pułkownika Rómmla powinien był natychmiast przekazać do sztabu 7 brygady kawalerii. Nie zrobił tego jednak. Był przekonany, że ruszenie brygady na północ odsłoni tyły Dywizji Jazdy, a z przejętych od bolszewików dokumentów wynikało, że Budionny posiada cały czas w odwodzie jedną dywizję. Wprawdzie rano udało się z pól Komarowa spędzić konarmiejców, zadając przy okazji im niemałe straty, jednak było oczywiste, że nie są to wszystkie siły Konarmii. O 17 widząc, że nie może dłużej przeciągać sprawy, Pragłowski będący szefem sztabu Dywizji Jazdy przekazał wreszcie rozkaz do pułkownika Brzezowskiego, który dowodził 7 brygadą. Ta szybko i sprawnie podjęła marsz w nakazanym kierunku. I równie szybko okazało się, że przewidywania Pragłowskiego były słuszne – po kilku minutach na

lewym skrzydle brygady z pobliskiego lasu zaczęły wysypywać się sowieckie oddziały. Spodziewana dywizja zjawiała się na polu bitwy, by jeszcze raz spróbować przebić się na wschód. Naprzeciw Polaków stanęła najbardziej elitarna jednostka Konarmii – 4 Dywizja Kawalerii. Brygada Brzezowskiego szybko zaczęła odwracać szyk – aby ustawić się frontem do zbliżającego się nieprzyjaciela. Także druga z brygad naszej dywizji – 6 brygada pułkownika Plisowskiego w błyskawicznym tempie gnała na południe, aby wesprzeć walkę z rosyjskimi kawalerzystami.

Tymczasem brygada Brzezowskiego stała już frontem do wroga. Wszystkie pozostałe polskie oddziały spieszyły na pomoc Brzezowskiemu, nawet sztab dywizji z pułkownikiem Rómmlem cwałował od północy w kierunku miejsca, gdzie zaraz zetrzeć mieli się Polacy i Rosjanie.

Starcie, które miało miejsce po godzinie 17 przeszło do historii. Co ciekawe w II RP było one tyleż legendarne, co faktycznie krótkie, trwało jak się wydaje nie dłużej niż 20 minut. Brzezowski do głównej szarży wyznaczył 8 Pułk Ułanów rotmistrza Krzeczunowicza, swojego starego przyjaciela i towarzysza bojów od roku 1914. Ten zaś mając świadomość jak wielka odpowiedzialność przed nim stoi i jak wielki obowiązek spoczął na jego barkach, rozumiał że nie może zawieść – choćby za cenę swej śmierci. Ze spokojem ustawił swoich żołnierzy w równym szeregu. Zrobił przy tym coś, czego pola wojen dawno już nie widziały – w epoce broni automatycznej i artylerii dalekonośnej zarządził szarżę w szyku zwartym. Jak się okazało było to rozwiązanie, które w sercach czerwonych wzniciło panikę.

Spokojnie rozpoczął szarżę krótkim rozkazem „wyciągniętym klusem marsz marsz!”. Miał doskonale świadomość, że zmęczone wcześniejszymi

bojami konie są w stanie zerwać się do cwału tylko na kilkadziesiąt metrów – tuż przed zwarciu się z wrogiem. Powoli brygada nabierała prędkości, dołączali do niej kolejni jeźdźcy z jednostek, które spieszyły ku Konamrii: Krechowiacy, Jazłowiacy, sztab dywizji. Krzeczunowicz miał doskonale w pamięci wszystkie zbrodnie sowieckich żołnierzy. Sam widział spalone majątki swojej rodziny, jako człowiek wywodzący się z kresów doskonale wiedział jakie są rachunki krzywd i win. Kłus przeszedł w galop, błyszczały wyciągnięte szable polskich Ułanów i Szwoleżerów, w pierwszym szeregu jeźdźcy wyznaczali swymi lancami kierunek szarży. Także sowieccy żołnierze pędzili w kierunku polskiej jazdy – walczyli o życie i dostanie się do swoich żołnierzy. Walczyli o uniknięcie pomsty za swe odrażające czyny. W ich szeregach znajdowały się także kobiety (komisarze polityczni). Z prawego skrzydła polskiej brygady galopował na swym koniu brat Krzeczunowicza, który przed frontem 14 Pułku Ułanów przekazywał im właśnie rozkaz płk. Rómmla: „Już! Już szarżować!”.

Na kilkadziesiąt metrów przed linią nieprzyjaciela Polacy przeszli do cwału. Teraz! Bij, zabij, wyrównaj krzywdy rodaków! Wedle relacji wściekłość i impet uderzenia Polaków był taki, że Rosjanie mieszały swe szyki zanim jeszcze nasza dywizja wbiła się w ich tłum. To tylko zwiększyło niszczycielski skutek naszej szarży. Gdy polscy kawalerzyści wgrzyźli się w szeregi konarmiejców, nie mieli pardonu. Nareszcie mieli na wyciągnięcie szabli tych, za którymi podążali długie i krwawe 3 miesiące. Tu już nie chodzi tylko o wojnę, o cele wojenne, o taktykę i strategię. Tu chodzi o dużo bardziej elementarne rzeczy. Zemsta to rozkosz bogów. A na polach Komarowa w tej chwili bogami wojny byli zdecydowanie Polacy! Sowietów próbowali się bronić, podjąć walkę, ale wściekłość, zajadłość i fanatyzm Ułanów i Szwoleżerów były nie do zatrzymania. Trwająca kilkanaście minut walka doprowadziła do rozbicia nie tylko 4

Dywizji, ogromnych jej strat i utraty zdolności bojowej. W wyniku boju trwającego od rana cała 1 Armia Konna doznała załamania morale, ogromnej ilości zabitych i w efekcie do końca wojny polsko-rosyjskiej nie odzyskała swej poprzedniej zdolności bojowej. Ci, którym udało się przeżyć starali się z dala od polskich oddziałów jak najszybciej przemieścić na wschód. Nie wszystkim się to udało, a co najważniejsze – od bitwy pod Komarowem to Polacy byli non stop w natarciu, a Konarmia prowadziła coraz bardziej rozpaczliwa obronę.

A przede wszystkim udało się zemścić na owianych złą sławą kawalerzystach. Każdy zamęczony polski jeńiec, każda zgwałcona kobieta, spalona chłopska chata tego dnia miały swą pomstę. Polscy żołnierze nie myśleli o tym czy mogą zginąć gnając ile sił w ostatniej szarży tego dnia. Nie myśleli o sobie, tylko o tym, że mamy rachunek krzywd do wyrównania. Że ci, którym należy się surowa kara są tuż przed frontem szarżującej brygady. Kumulowana przez kilka miesięcy wściekłość wreszcie znalazła swój upust. W krwawym, szaleńczym boju nie dawano pardonu i samemu go nie oczekiwano. Niech żyje śmierć! I tą właśnie wielu naszych chłopaków tego dnia odnalazło pod Komarowem. Straty dywizji oblicza się na około 300 zabitych z 2000 żołnierzy Dywizji Jazdy. Sowieci stracili ponad 2000 zabitych z 4500 konarmiejców biorących udział w starciu. Wolność krzyżami się znaczy. Zemsta także. Ale są sytuacje, w których po prostu trzeba zrobić to, co do nas należy. Jakiego szacunku od innych i od Historii możemy oczekiwać w stosunku do siebie, jeśli pozwolimy aby zbrodniarzom i zwykłym sukinsynom ich winy uchodziły płazem? Niech żyje zemsta! Niech żyje śmierć!

Zwycięstwo na polach Komarowa sprawiło, że podłamana i przetrzebiona armia Budionnego nie tylko nie doszła już do siebie. Była także znacznie mniej sowiecka – to znaczy nie popełniała już zbrodni. Oczywiście wynikało to z tego, że była w ciągłym odwrocie, ale także z faktu, że Dywizja Jazdy pod Komarowem wywarła na niej słuszną pomstę. Bolszewicy zrozumieli, że wbrew pogadankom komisarzy (głównie zresztą żydowskiego pochodzenia) za swoje czyny ponosi się konsekwencje. A gdy konsekwencje wyciąga polska kawaleria, ówczesna elita polskiej armii, nie można liczyć na jakąkolwiek litość.

Tekst ten nie ma oczywiście na celu nakłanianie naszych czytelników i czytelniczek do straceńczych działań. Chodzi o wykazanie jak nasze życie i jego koleje umiejscowione są w dziejowym procesie trwania naszego Narodu. Chodzi o pokazanie, że wbrew indywidualistycznemu spojrzeniu, jakie propagują liberałowie, śmierć i strach przed nią nie są najwyższymi determinantami ludzkiego życia.

Są rzeczy dużo ważniejsze. Przeznaczenie, obowiązek, odpowiedzialność – za swoich towarzyszy, rodaków, za swój kraj. Za historię i przyszłe pokolenia. Ciężką na nas naprawdę wielkie wyzwania, bo i czasy w jakich żyć nam przyszło są dość paskudne. Każdy jednak Naród, każda etniczność, a nawet rasa mają swoich bohaterów. Są oni dla nas przykładem i wzorem odpowiednich zachowań i tego co należy zrobić. Nie jesteśmy bowiem zatomizowanym zbiorem jednostek. Jesteśmy Polakami i Europejczykami, a to wiąże się z określonymi prawami, ale także obowiązkami. Nie wiem jakie jutro i pojutrze czekają nas wyzwania, z czym dokładnie przyjdzie nam się zmierzyć. Wiem jednak, że jeśli

Europa stanie w ogniu w wyniku wojny z najeźdźcami i liberalnymi uzurpatorami, to każdy z nas zerwie się Szturmem do boju z jednym tylko okrzykiem na ustach.

Niech żyje śmierć!

Epilog

Dowodzący szarżą Szwoleżerów pod Somosierrą Leon Koziętulski przeżył starcie. Po pierwszej salwie hiszpańskiej artylerii zabity został jego koń, a on sam lekko ranny. Zmarł w roku 1821, w wieku zaledwie 40 lat – jak wykazała sekcja zwłok jego organizm nosił liczne ślady wyniszczenia trudami wojen. Wielu oficerów pod Somosierrą nie miało tyle szczęścia co Koziętulski. Podczas szarży zginęli kapitan Dziewanowski, porucznik Krzyżanowski, podporucznicy Rowicki i Rudowski oraz wielu podoficerów i szeregowych żołnierzy.

Generał Pierre Cambronne również przeżył ostatnią swą walkę – choć zapewne w ogóle tego nie brał pod uwagę. Razem z nim przeżyła zaledwie garstka żołnierzy (21 ludzi) z ostatniego czworoboku. Ciężko ranny w głowę długo wracał do zdrowia. Gdy wyzdrowiał powrócił do służby dla Francji, będąc między innymi komendantem Lille. Zmarł w 1842 roku. Wellington zmarł 10 lat później opromieniony nimbem zwycięzcy spod Waterloo. Obecnie nauka przyznaje, że kluczowe dla przebiegu batalii było pojawienie się wojsk pruskich oraz zaniedbania (być może celowe) francuskiego marszałka Grouchy.

Z większością głównych uczestników bitwy pod Komarowem los obszedł się łaskawie. Pułkownik Brzezowski przeżył 2 wojnę i zmarł w Polsce ludowej. Krzczunowicz po wojnie pozostał na emigracji, gdzie dożył swych dni. Wśród dowódców pułków najsłynniejszym został dowodzący 12 Pułkiem Ułanów Tadeusz Bór-Komorowski. Dowódca dywizji – Juliusz Rómmel w roku 1939 dowodził Armią „Łódź”, a jego szefem sztabu znów był Pragłowski. Rómmel popełnił w kampanii szereg rażących błędów, oskarżano go także o dezercję. Po wojnie wrócił do Polski, gdzie też zmarł. Dowódca 6 brygady jazdy – pułkownik Plisowski został zamordowany w Katyniu. Pragłowski po wojnie pozostał na emigracji. Budionny przeżywszy 90 lat zmarł w roku 1973.

Jacek Bartyzel - DUBY SMALONE "POLSKI WALCZĄCEJ PRZECIW FASZYZMOWI"

Lewacki portal sykofantów "OKO.press" szczuje przeciwko Marszowi Narodowców w 75. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego <https://oko.press/boli-nas-laczenie-kotwicy-z-falanga-apel-weteranow-powstania-przed-marszem-narodowcow-1-sierpnia-film/>. Głównym mięsem armatnim, którym pluja, jest apel sprzed roku "Powstańców", jak piszą, a konkretnie grupki dziewięciorga weteranów powstania występujących pod nazwą "Stowarzyszenie Polska Walcząca Przeciw Faszyzmowi", z których stosunkowo najbardziej znane osoby to dwie panie: artystka Krystyna Zachwatowicz-Wajda i tłumaczka Anna Przedpeńska-Trzeciakowska. Rzeczona dziewiątka wyraża oburzenie "zawłaszczaniem" symbolu Polski Walczącej przez środowiska jakoby niemające nic wspólnego z jej (Polski Walczącej) tradycją, pisząc, iż "boli nas łączenie kotwicy z falangą". Nadto, w oświadczeniu przesłanym do mediów, Stowarzyszenie to przeprowadza osobliwy wywód ideologiczno-historyczny na temat faszyzmu o treści następującej: „Faszyzm to nie tylko nazwa stworzonego przez Mussoliniego państwa i naśladowujących go dyktatur w Hiszpanii, Portugalii, Austrii, na Węgrzech, na Słowacji i najbardziej zbrodniczej jego odmiany, nazizmu hitlerowskiego. Faszyzm to też ruch polityczny, ideologia, światopogląd i sposób rządzenia, który odradza się pod postacią NOWEJ PRAWICY. Głoszone przez nią wartości to: silne przywództwo, Bóg, naród, porządek, rasa, wspólnota narodowa. Zamiast idei równości – elitarność; w miejsce indywidualnych praw człowieka – kolektywizm (to znaczy prawa człowieka nie dla jednostki, a dla narodu)". Wisienką na tym torcie jest zdanie: "Homofobia, której brutalną odsłonę widzieliśmy podczas Marszu Równości w Białymstoku,

to nieodłączna cecha „klasycznego” i współczesnego faszyzmu”.

Cały ten stęchły pasztet jest w każdym słowie stekiem piramidalnych bredni i oszczerstw.

1. Nie ma niczego niestosownego w łączeniu symbolu kotwicy z falangą, czyli emblematem polskich organizacji narodowo-radykalnych (ONR, ONR-ABC, RNR-Falanga), powstałych w latach 30. i kontynuujących swoją działalność w niepodległościowym podziemiu w okresie II wojny światowej, jak również nawiązujących do ich tradycji organizacji współczesnych. Można się z ich programami zgadzać lub nie, ale wszystkie one stały na gruncie państwowości polskiej i wniosły istotny wkład do walki z obu okupantami, również podczas Powstania Warszawskiego. Nie kto inny, jak dowódca powstania, gen. Chruściel "Monter" powiedział, że zgrupowanie Narodowych Sił Zbrojnych (a więc formacji wywodzącej się po części ze środowiska ONR-ABC) Chrobry II, jako jedyne nie oddało Niemcom ani piędzi ziemi. Byli falangiści zaś, w czasie wojny występujący pod nazwą Konfederacja Narodu i tworzący Uderzeniowe Bataliony Kadrowe, walczyli w powstaniu z nie mniejszym poświęceniem, już w oddziałach scalonych z Armią Krajową. Narodowi radykałowie mają zatem dokładnie takie samo prawo - ani mniejsze, ani większe - jak uczestnicy innych formacji i innych nurtów ideowych do symbolu Polski Walczącej oraz łączenia z nim swojego symbolu organizacyjnego.
2. Prostackim i kuriozalnym kłamstwem jest nazywanie "faszyzmem" narodowo-katolickich ustrojów autorytarnych w Hiszpanii, Portugalii, Austrii, na Węgrzech i na Słowacji, lecz co najważniejsze

w omawianym kontekście, żaden z tych krajów, wyjąwszy Słowację we wrześniu 1939 roku, nie prowadził wojny z Polską i nie wyrządził żadnej krzywdy naszemu narodowi, a Węgrzy okazywali nam wszechstronną i serdeczną pomoc.

3. Definiowanie faszyzmu przez głoszenie przezeń takiej "wartości", jak Bóg, dowodzi, że autorzy tej definicji są albo pomyłkami, albo są owładnięci nienawiścią do Boga; inna możliwość logicznie nie istnieje. W świetle tego poplątanie innych (doczesnych) wartości, takich jak silne przywództwo, naród, wspólnota narodowa czy elitarność, z rasą i kolektywizmem, to już tylko durnowata manipulacja semantyczna.
4. Przypisywanie powstańcom warszawskim intencji walki w obronie "idei równości" czy "indywidualnych praw człowieka", nie zaś po prostu i zgodnie z prawdą z okupantem NIEMIECKIM, byłoby tylko groteskowo śmieszne, a nie groźne, ze względu na brak jakiegokolwiek związku z rzeczywistością, gdyby nie to, że stanowi jedynie lekko zmutowaną, w duchu współczesnej ideologii demoliberalnej, wersję schematu "wyjaśniającego" sens historii, wymyślonego przez Stalina i realizowanego przez Komintern, wedle którego w świecie współczesnym toczy się wszędzie, od wojny domowej w Hiszpanii począwszy, walka dobrych "antyfaszystów" (pod wodzą antyfaszystów doskonałych, czyli komunistów) ze złymi "faszystami". Ci "antyfaszyści", dziś nazywani egalitarystami, nie mają przy tym żadnej narodowości ani przynależności państwowej, a to samo dotyczy "faszystów", chyba, że chodzi o Polaków, żyjących tu i teraz, to wtedy ją cudownie odzyskują. Inni zaś "faszyści" pochodzą z jakiejś wymagowanej Faszystolandii, a już, broń Boże, nie mają narodowości i przynależności państwowej niemieckiej.

Himalaje absurdu, jakim jest złączenie owego "uniwersalnego" faszyzmu z "homofobią", a więc pojęciem wymyślonym stosunkowo niedawno, którego powstańcy warszawscy nie mogli się nawet domyślać, a cóż dopiero owej "homofobii" się przeciwstawiać, zyskały wsparcie ze strony Fundacji Pamięci o Bohaterach Powstania Warszawskiego i Związku Powstańców Warszawskich - organizacji powstałej, jak czytam na ich stronie internetowej (<http://www.powstanie1944.pl/strona,160,O-nas>), na bazie Zespołu Środowisk Ruchu Oporu, działającym przy Warszawskim Okręgu Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (sic!) - które potępiając "akty agresji, które zakłóciły pierwszy Marsz Równości w Białymstoku", oświadczyły: „Nie ma zgody na ponížanie mniejszości seksualnych w kraju, w którym homoseksualiści byli zabijani przez faszystów za swoją odmienność". Zdanie powyższe jest niegodziwością wołającą o pomstę do Nieba, ponieważ sugeruje, że "tym krajem", w którym homoseksualiści byli zabijani przez faszystów, jest Polska. W otocze takich oszczerstw możliwe stają się także takie obrzydliwości, jak rzeczywiste plugawienie symbolu Polski Walczącej przez umieszczanie kotwicy na tle sześciobarwnej szmaty wojujących sodomitów. A, nawiasem mówiąc, według tej "logiki" zaszlachtowani na rozkaz Hitlera w "nocy długich noży" przez "heteroseksualną" konkurencję z SS, pederasty z SA, na czele z kpt. Ernestem Röhmem, winni być uznani za ofiary faszyzmu i antyfaszystowskich "męczenników".

Marcin Bebko - Czy słycać wiatr zmian?

Na początku

Na 13 października wyznaczony został termin wyborów parlamentarnych. W mainstreamowych mediach głośno o tym kto wygra i jakie będą tego konsekwencje. Już dzisiaj można powiedzieć, że wynik jest znany. Jeśli nie wydarzy się nic co miałoby siłę rażenia małej apokalipsy, to mogę ze 100% pewnością powiedzieć kto wygra wybory. Wygra je PO-PiS. Bez względu na rozkład poparcia wobec dwóch jego części składowych to wygra ten jeden określony stwór, swoista hybryda która od chwili powstania w 2001 roku konsekwentnie się rozrasta na polskiej scenie politycznej. Jak rak toczy i niszczy polską politykę.

W mediach dominuje oczywiście obraz dwóch partii, których rywalizacja stanowi odbicie manichejskiej wizji walki dobra i zła. Dla zwolenników poszczególnych jej części to ta druga strona jest złem absolutnym. A przynajmniej tak to wygląda w popularnym “przekazie dnia” w środkach masowego przekazu skupionych wokół jednej z dwóch głów tej chimery. Zarówno Platformę jak i Prawo i Sprawiedliwość łączy przecież wiele. Obydwa ugrupowania wyrastają z jednego ciała. Jest nim trup Akcji Wyborczej Solidarność (AWS) wzbogacony o resztki Unii Wolności. Na potrzeby polityki starają się jednak prezentować jako dwa różne podmioty. W tym celu PO zakłada “lewicowo-liberalną” maskę a PiS przywdziewa “etatystyczno-konserwatywne” przebranie. Pozostaje to jednak bez wpływu na zakres szkód które obydwie partie wyrządzają Polsce.

Rządy koalicji AWS-UW (1997-2001) to czas dla Polski nienajlepszy. Rosnące ubóstwo, problemy gospodarcza, przestępczość stały się niestety

dominującym elementem codziennej rzeczywistości. To również czas w którym wprowadzone zostały cztery kluczowe reformy: edukacji, administracji, służby zdrowia i systemu emerytalnego. Problemy i chaos związane z wprowadzeniem tych reform, jak również podziały w samej koalicji np. w sprawie wychowania seksualnego i prawa do aborcji spowodowały rozpad koalicji i przegraną w wyborach w 2001 roku. Na gruzach AWS wyrosły szybko dwa nowe twory: Platforma Obywatelska i Prawo i Sprawiedliwość. Obydwa ugrupowania to więc starzy "koledzy". Towarzysze, którzy w większości przez ostatnie 30 lat tworzyli scenę polityczną tzw. „wolnej Polski”. Obydwie partie znalazły się po wyborach z 2001 roku w opozycji. Dla porządku przypomnijmy, że wybory z 2001 roku przywróciły do władzy SLD i PSL. Przez kolejne 4 lata rządów PO-PiS pozostając w opozycji do pseudolewicowego rządu byłych aparaczyków z PZPR kreowały się coraz bardziej na zbawicieli polskiej sceny politycznej. Pomimo różnic, które obydwie partie starały się podkreślać oczekiwania wyborców były jasne. Po kompromitacji rządów SLD oto do władzy dojdzie ekipa ludzi o szlachetnych życiorysach, którzy bez balastu PRL wprowadzą nas do Europy. Zarówno PO i PiS to były partie centrowe, przy czym w PiS akcentowano konserwatyzm kulturowy. Po wyborach powszechnie oczekiwano koalicji. Niestety, rok 2005 okazał się pod tym względem rozczarowaniem. Bratnie partie nie doszły do porozumienia. Co więcej, doszło do kuriozalnej sytuacji w której dwie głowy z tego samego ciała rozpoczęły wzajemną walkę, próbując wykończyć jedna drugą. Czas pokaże, że walka oznaczać będzie podporządkowanie wszystkiego tej dwugłowej bestii. Nie będzie już miejsca na jakąkolwiek formę działalności politycznej, która wykraczać będzie poza ramy tego konfliktu a obydwie partie zdominują polską scenę polityczną. Wojna PO-PiS choć ma charakter wojny domowej w ramach jednej grupy polityków, stała się osią dla krajowej

polityki. W tej sytuacji jedyny obecny w przestrzeni publicznej spór to ten na linii PO-PiS. Inni się nie liczą. Bolesnie doświadczył tego Sojusz Lewicy Demokratycznej, którego posłowie nie znaleźli się w Sejmie po wyborach w 2015 roku. Podobny los spotykał partie, które próbowały przełamać swoisty monopol czy też duopol PO-PiS. Zarówno Palikot, Nowoczesna, Razem, Zmiana czy też Kukiz'15 nie były w stanie albo utrzymać wywalczonych w wyborach miejsc albo w ogóle dostać się do parlamentu. Podobnie skończyła Samoobrona i Liga Polskich Rodzin, które zostały zwasalizowane a następnie zniszczone przez PiS.

Dwugłowy potwór i jego wewnętrzna walka nie pozwalają więc zaistnieć nikomu, kto mógłby zagrozić którejkolwiek z jego głów. Ponieważ stanowią one jedność, walczyć będą z każdym kto chciałby jedną lub obydwie głowy zniszczyć. Nie ma szans aby prawdziwe okazało się przysłowie, że gdzie dwóch się bije tam trzeci korzysta. Od 2005 roku, czyli przez blisko 15 lat nie udało się to nikomu. Prawdopodobnie jeszcze przez długi czas jeszcze się to nie uda.

A dlaczego? Odpowiedź jest prosta - PO-PiS to jedność. Są jak mafijna rodzina wewnątrz, której dochodzi do krwawych porachunków, bijatyk i sporów ale która jednocześnie bezwzględnie rozprawia się z każdym, kto nie należy do rodziny i kto próbuje wkroczyć na jej terytorium. Tym terytorium, czy też głównym obszarem działania naszej mafii jest łupienie i żerowanie na państwie polskim. To cecha charakterystyczna państw peryferyjnych (a takim jest niestety Polska pod rządami polityków postkomunistycznych i postsolidarnościowych), że najbardziej atrakcyjną i efektywną formą gromadzenia kapitału jest pasożytowanie przez „elity” na działalności państwowej. Może się to przejawiać nie tylko na obsadzaniu swoimi ludźmi stanowisk w państwowych firmach ale również na czerpaniu profitów z możliwości jakie daje kontrola dostępu do wewnętrznego rynku i zasobów państwa. Pierwsza forma ma wzięcie

wśród etatystycznie nastawionych polityków spod znaku PiS, druga cieszyła się popularnością wśród kompradorskich polityków PO. Pomijając więc sam fakt sprawowania władzy politycznej, równie ważne (o ile nie najważniejsze) są korzyści materialne dla polityków obydwu partii.

Oprócz zysków z powyższych działań, które wymagają sprawowania władzy znaczenie mają pieniądze bezpośrednio przekazywane z budżetu państwa do partyjnej kasy. Mowa nie tylko o poselskich dietach i ministerialnych wynagrodzeniach, ale przede wszystkim o subwencjach i dotacjach. W ciągu 13 lat (okres 2004-2017) do partii trafiło ponad miliard złotych z subwencji i ponad 300 milionów złotych z tytułu dotacji^[1]. Przyjrzyjmy się jak dokładnie wyglądają korzyści wyciągane przez PO-PiS z budżetu państwa.

Subwencje i dotacje czyli skąd partie biorą pieniądze i dlaczego nie zawsze warto wygrywać wybory

Najwięcej pieniędzy trafiło oczywiście PiS i PO. Razem zgarnęły prawie połowę środków przekazanych w ten sposób. Co ciekawe, żadna z partii krytykując rozdawnictwo i niegospodarność poprzedników nie zdecydowała się na zmianę sposobu finansowania partii. Częściej za to wskazywano, że polityka poprzedniej ekipy skutkowałą wzrostem biurokracji i wzrostem wynagrodzeń w administracji państwowej. Wszelkie więc wysiłki związane z wprowadzaniem oszczędności w budżecie prowadzą do obniżania wynagrodzeń urzędników w atmosferze nagonki na tych ostatnich i pokazywania ich jako pasożytów. Pasożyty są, ale gdzie indziej. Tymczasem z uwagi na brak racjonalnej dyskusji o zasadach wynagradzania dla sfery budżetowej powoduje to rosnące

problemy dotyczące po pierwsze jakości ich pracy (ciężko mówić o jakości pracy, która wynagradzana jest na poziomie pensji minimalnej) a po drugie znalezienia chętnych do pracy.

Przejawem hipokryzji jest więc postulowanie “taniego państwa” przy jednoczesnym milczeniu na temat subwencji i dotacji. Nie ma się więc co dziwić protestom kolejnych grup zawodowych, które słyszą że na podwyżki nie ma pieniędzy.

Subwencja działa w prosty sposób, w zależności od zdobytego w wyborach poparcia partia dostaje pieniądze za każdy głos. Oznacza to więc, że subwencje nie są stałe i mogą rosnać wraz ze wzrostem frekwencji. Im wyższa frekwencja i tym samym więcej głosów, tym więcej pieniędzy z budżetu trafia na konto partii. Pamiętajmy o tym słysząc narzekania ze strony “mądrych głów” tego czy innego ośrodka analitycznego partii X lub Y narzekającego na niską frekwencję i zachęcającego do udziału w wyborach. Mobilizacja wyborców i ich obecność w lokalach wyborczych to więcej pieniędzy do podziału dla partii.

Dla uzyskania subwencji w minimalnej wysokości wymagane jest poparcie w zależności od tego czy do czynienia mamy z partią czy też z koalicją, odpowiednio 3 lub 6 procent. Oznacza to, że aby dostać pieniądze nie trzeba dostać się do Sejmu (próg wyborczy wynosi 5% dla partii i 8% dla koalicji). Ciekawy jest sam sposób wyliczania kwoty subwencji. Partia otrzymuje pieniądze za każdy głos w zależności od poziomu poparcia który uzyskała. Najwyżej wyceniane są głosy do poziomu 5% poparcia. Im większe poparcie, tym mniejsza wartość głosu. Wydaje się to nielogiczne. Przecież tym samym partia, która dostaje większe poparcie dostaje mniejszą kwotę w przeliczeniu na jeden głos. Ważne są jednak dwie rzeczy. Po pierwsze im większa liczba głosów tym większa finalnie kwota trafia w formie subwencji na konto partii. Działa

tu efekt skali, 0,5 mln głosów przykładowo wartych 5 zł przełoży się na mniejszą kwotę niż 3 mln głosów po 1 zł każdy. Po drugie oprócz subwencji partie uzyskują pieniądze ze wspomnianych wcześniej dotacji. Dotacja przysługuje wyłącznie partiom, które zdobyły mandaty. Wysokość dotacji zależy od kwoty wydanej na kampanie i ilości zdobytych miejsc. Tutaj opłaca się mieć zatem jak najdroższą kampanię (przynajmniej na papierze) i zdobyć jak największą ilość miejsc w parlamencie.

Spójrzmy na przykładowe wyliczenia za 2016 rok^[2]. Okazuje się, że PO i PiS uzyskały bardzo podobną kwotę subwencji, odpowiednio 16 i 18 milionów złotych. Obie partie dostały też dotacje związane z uzyskaniem mandatów poselskich - 26,7 mln otrzymała Platforma i 29,7 mln otrzymało Prawo i Sprawiedliwość. Nie są to więc małe kwoty, warto zauważyć też, że wysokość dotacji jest o ponad 60% wyższa niż kwota uzyskana z subwencji. Pomimo tego, że subwencje są ważnym elementem finansowania partii, to największe kwoty do uzyskania są w ramach dotacji dla partii, które zasiadają w parlamencie. Oczywiście tutaj liczy się ilość zdobytych miejsc jak i kwoty przeznaczone na kampanię. Zyskują więc partie, które wygrywają i dlatego PO i PiS walczą o to aby nikt nie zagroził ich pozycji. Z drugiej jednak strony z subwencji skorzystać mogą partie, które nie przekroczyły progu wyborczego. Pytanie dlaczego? Czy nie stanowi to zachęty do startu nawet jeśli nie mamy szans na zdobycie mandatu? W końcu za niskie poparcie uzyskujemy największą stawkę w przeliczeniu na 1 głos. To tłumaczy istnienie partii, które można określić mianem pijawek. Nie są one w stanie dostać się do parlamentu, ale uzyskują środki dzięki którym wciąż funkcjonują w obiegu. Pytanie jaki jest cel takiej kroplówki podtrzymującej istnienie partii, które zdobywają głosy bez przełożenia na reprezentację w parlamencie? Przyjrzyjmy się temu w jaki sposób przeliczane są w Polsce głosy.

System d'Hondta czyli jak głosując na Konfederację głosujemy na PO

Mechanizm przeliczania głosów na mandaty jest kolejnym obok finansowania partii elementem, który sprzyja hegemonii PO-PiS. Obecnie w Polsce funkcjonuje system wyborczy o charakterze proporcjonalnym. Oznacza to, że partie otrzymują ilość miejsc w parlamencie proporcjonalną do uzyskanego poparcia wśród wyborców. Teoretycznie oznacza to więc idealny świat liberalnej demokracji. Każdy ma swoją reprezentację, każdy głos jest ważny. Niestety! W ramach systemu proporcjonalnego wprowadzone zostały dwa mechanizmy zabezpieczające interesy duopolu. Pierwszym “bezpiecznikiem” jest próg wyborczy. Miejsca w parlamencie otrzymują te partie lub koalicje partii które uzyskają poparcie w skali kraju przewyższające odpowiednio 5 lub 8 procent. Drugim “bezpiecznikiem” gwarantującym funkcjonowanie duopolu i nikłe możliwości jego przełamania jest sposób przeliczania głosów na mandaty. W Polsce funkcjonuje mechanizm oparty na metodzie d'Hondta. Metoda ta polega na ustaleniu najpierw tzw. ilorazów wyborczych, które są ilorazem ilości oddanych głosów na dany komitet i kolejnych liczb naturalnych większych równych od 1. Takie działanie przeprowadza się do momentu rozdzielenia wszystkich mandatów w danym okręgu. Wydaje się to skomplikowane i tak jest w rzeczywistości. Poniżej przykładowe wyliczenia podziału mandatów w okręgu w którym do zdobycia jest 30 mandatów.

Tabela 1. Przykładowy podział mandatów w systemie d'Hondta

Ważniejszy jednak od samego sposobu liczenia jest wpływ na ostateczny wynik w postaci ilości zdobytych mandatów, jakie niesie ze sobą wybór powyższej metody. Po pierwsze promuje on silniejsze ugrupowania, czyli w naszym przypadku PO i PiS. Po drugie o tym kto dostanie się do parlamentu decyduje tak naprawdę miejsce na liście. Stąd taka batalia o "jedynki" na listach wyborczych. Ta pozycja w przypadku przekroczenia progu daje w zasadzie pewność uzyskania mandatu. Zdarzają się sytuacje, w których kandydat startujący z dalszego miejsca, który uzyskał więcej głosów niż "jedynka" nie dostawał się do parlamentu właśnie w efekcie działania wyżej opisanego sposobu przeliczania głosów na mandaty. Możliwa jest również sytuacja, w której dana partia przekroczy próg wyborczy, ale rozkład mandatów w poszczególnych okręgach ułoży się w taki sposób że żaden z jej reprezentantów nie zasiądzie w parlamentarnych ławach.

Przyjrzyjmy się więc roli jaką do odegrania ma próg wyborczy.

Teoretycznie ma zmniejszać ryzyko wystąpienia zbyt dużego rozdrobnienia w parlamencie. Założenie jest takie, że jeśli każda partia dostawałaby się do parlamentu to byłby on niezdolny do wyłonienia rządu, który miałby zapewnione stałe oparcie. Stąd idea progu, który ma nie dopuścić do takiej sytuacji zmniejszając ilość podmiotów reprezentowanych w parlamencie.

Co się jednak dzieje z tymi głosami oddanymi na ugrupowania, którym nie udało się przekroczyć progu? Mądrość ludowa głosi, że w przyrodzie nic nie ginie. W demokracji również. Głosy na partie, które nie dostały się do parlamentu są dodawane proporcjonalnie pozostałym partiom.

Wynika to z prostego mechanizmu zakładającego, że wszystkie mandaty, które są do zdobycie muszą zostać obsadzone. Jeśli nie uda się to w sposób naturalny tzn. partie które dostały się do parlamentu nie reprezentują 100% głosów oddanych ogółem w wyborach, wówczas

przydziela się proporcjonalnie pozostałe do obsadzenia miejsca partiom które przekroczyły próg. Patrząc na wyniki poprzednich wyborów z 2015 roku widać to wyraźnie, PO i PiS zdobyły łącznie 61,67% głosów. W parlamencie zdobyły łącznie jednak 81% mandatów. Wpływ na taki wynik miał fakt, że blisko 20% głosów zostało oddanych na ugrupowania które nie przekroczyły progu wyborczego. Partie, którym udało się go przekroczyć zdobyły ok. 83% wszystkich głosów. W 2005 roku wyborców bez swojej reprezentacji było 10,93%, w 2007 i 2011 roku zaledwie 4,12%. Biorąc pod uwagę to, że wyborach 2007, 2011 i 2015 PO i PiS łącznie zdobywały podobną ilość poparcia widać jasno, że demokracja z jaką mamy do czynienia w Polsce w rzeczywistości jest systemem partokratycznym podporządkowanym PO-PiS. Liczba zdobytych przez nie mandatów jest taka sama na przestrzeni trzech ostatnich elekcji do parlamentu (2007, 2011, 2015) pomimo malejącego poparcia wyrażonego w ilości oddanych głosów na Platformę i PiS.

W 2007 roku łącznie oddano na obydwie partie ponad 11 milionów głosów. W 2011 roku zdobyto łącznie już tylko 9,924 milionów głosów a w 2015 9,373 miliona. Wyraźnie widoczny jest odpływ ponad 2,5 miliona wyborców. Odpływ ten nie znalazł jednak jak widać powyżej odzwierciedlenia w ilości mandatów, która pozostała bez zmian w stosunku do 2007 roku a nawet uległa zwiększeniu w porównaniu z przedostatnimi wyborami (2011 rok). W 2011 roku PO-PiS dysponowały liczbą 364 mandatów i głosami 9,924 mln wyborców, w 2015 zdobyły 375 mandatów a więc o 10 więcej przy czym łącznie zostało na te dwie partie oddane 9,373 miliona głosów czyli o 0,5 miliona mniej niż 4 lata wcześniej. System zamyka się, o czym świadczą powyższe liczby. Zwiększa się ilość wyborców, których głos nic nie znaczy ponieważ ugrupowania, na które głosują nie dostają się do sejmu. Jednocześnie zmniejsza się ilość osób głosujących na PO-PiS co nie pociąga za sobą

zmniejszenia ilości posłów obydwu partii w sejmie a wręcz przeciwnie ich reprezentacja uległa zwiększeniu.

W obecnym systemie politycznym prawdziwe i pewne jest jedno stwierdzenie: od 15 lat rządzi jedna klika. Sprzyja temu sam system, który uniemożliwia rozbięcie duopolu obydwu partii. Ciężko zresztą rozbić coś co jest jednym i tym samym. Ale jak to? Przecież PiS i PO to dwie partie, dwa podmioty różniące się od siebie jak ogień i woda. Czy faktycznie tak jest? Szczerze wątpię, wystarczy sprawdzić jak w praktyce wyglądały rządy jednych i drugich. Każda z dwóch partii stara się odróżnić w oczach masy wyborców jako ta wyjątkowa i jedyna. W praktyce nie widać natomiast różnic.

Tabela 2. Zestawienie wyników wyborczych PO i PiS.

Dane	2005	2007	2011	2015
ilość mandatów PO	133	209	207	138
ilość mandatów PiS	155	166	157	235
% mandatów PO	28,91%	45,43%	45,00%	30,00%
% mandatów PiS	33,70%	36,09%	34,13%	51,09%
% poparcia PO	24,14%	41,51%	39,18%	37,58%
% poparcia PiS	26,99%	32,11%	29,89%	24,09%
Suma mandatów	288	375	364	373
PO głosy	2 849 259	6 701 010	5 629 773	3 661 474
PiS głosy	3 185 714	5 183 477	4 295 016	5 711 687
Suma oddanych głosów	6 034 973	11 884 487	9 924 789	9 373 161
Frekwencja	40,57%	53,88%	48,92%	50,92%

Ch*wo ale stabilnie, czyli wszystko zostaje po staremu**

Podstawową metodą wykorzystywaną przez PO i PiS w celu zapewnienia poparcia ze strony wyborców jest unikanie jakichkolwiek poważnych tematów oraz unikanie jakichkolwiek poważnych decyzji. Podkreślanie na każdym kroku dzielących je różnic o charakterze światopoglądowym czy też wizerunkowym pozwala unikać odpowiedzialności za losy państwa i narodu. To znakomity parawan dzięki któremu rzeczy ważne, ale niewygodne i wymagające wysiłku stają się domeną ekspertów pozbawionych realnego wpływu na politykę państwa. Pozwala to również obydwu partiom na popełnianie różnego rodzaju nadużyć, które przez własny elektorat traktowane będą jako zło konieczne i efekt uboczny działań które mają na celu pokonanie przeciwnika. Przeciwnik nie może jednak zostać nigdy pokonany a to dlatego., że jego “śmierć” oznaczałaby również koniec drugiej z głów. Co by się stało gdyby Platforma się rozwiązała? Poparcie dla PiS zmalałoby w zastraszającym tempie. Brak wroga wymagałby rządu a nie walki na słowa i miny. Okazałoby się, że PiS nie ma racji bytu bez przeciwnika. Podobnie gdyby PiS zniknęło z polskiej sceny politycznej dni Platformy byłyby policzone. Okazałoby się, że nie ma kogo obwiniać za własną nieudolność i popełnione błędy. Tak jednak póki co się nie stanie. PiS i PO są na siebie skazane i dobrze o tym wiedzą. Temu służyć ma rozbudzanie wojny “polsko-polskiej” i szczucie na siebie Polaków. Jedna i druga strona rości sobie prawo do wyłącznego reprezentowania Polaków i do polskości jako takiej. Naród to partia i jej wyborcy. Przejawy jakiegokolwiek solidarności idącej w poprzek podziałów partyjnych są natychmiastowo zwalczane i stają się niemożliwe. Każda ze stron stara się odpowiednio podgrzewać atmosferę nie pozwalając

wyczerpać się pokładom energii, która w ten sposób znajduje swoje bezpieczne ujście w jałowym sporze. To sposób na zagospodarowanie emocji i frustracji, które w innym okolicznościach miałyby przełożenie na konkretne działania polityczne. Istnieje jednak ryzyko, że byłyby one prowadzone nie po linii partyjnej. Dla PO i PiS jest to niedopuszczalne. Zawęźa się tym samym pole do jakiegokolwiek dyskusji z uwagi na totalną konieczność opowiedzenia się po jednej ze stron. Nie czyniąc tego stajesz się zdrajcą dla jednych i drugich. Z jednej strony straszenie “totalną opozycją” a z drugiej strony “faszystami z PiS”. Nie ma trzeciej drogi. Przypomina to ekspansję neoliberalizmu w ekonomii, której przewodziło hasło “There is no alternative” - “Nie ma żadnej alternatywy”. Tym hasłem posługuje się jedna i druga strona udowadniając, że w tej wojnie nie ma innego wyboru jak opowiedzieć się po którejś ze stron. Tak zwani symetryści stanowią niebezpieczeństwo i są zwalczani zarówno przez PO jak i PiS. Obydwie partie starają się przeciągnąć na swoją stronę stojących z boku. Służą temu zabiegi mające na celu uwypuklenie różnic i zamaskowanie podobieństw.

Tymczasem ugrupowania prezentują ten sam poziom działań antypaństwowych i antynarodowych. Czy chodzi o demobilizację armii i katastrofalny stan polskich sił zbrojnych, czy nieudolne reformy i politykę zagraniczną, która sprowadza się do chodzenia na pasku zagranicznych protektorów, wszystkie te działania dotyczą zarówno Platformy jak i Prawa i Sprawiedliwości. Podobnie w jednej jak i drugiej partii do czynienia mamy z korupcją, nieudolnością rządów i brakiem kompetencji. Wszystko to nie gra roli, jeśli wszystko sprowadza się do politycznego cyrku. Zabawa w cyrk nie pozwala jednak zająć się kwestiami, które dla Polski i Polaków mają kluczowe znaczenie. W tym momencie są to demografia oraz struktura gospodarki w Polsce. Tematy te mają to do siebie, że odkładanie w czasie decyzji z nimi

związanych powoduje tylko i wyłącznie narastanie problemu. Jest to niestety taktyka, którą stosują PO i PiS jednocześnie zapewniając o swojej trosce o los państwa i narodu.

W przypadku demografii mamy do czynienia od kilkunastu lat z ujemnym przyrostem naturalnym. Minimalny poziom dzietności zapewniający zastępowalność pokoleń to 2,1 (liczba dzieci przypadająca na 1 kobietę). W Polsce od 2005 roku mamy poziom dzietności poniżej tej liczby. Średnia za lata 2005-2018 a więc lata rządów PO-PiS to 1,34. Co ciekawe pomimo tak szeroko reklamowanych i promowanych działań obecnej władzy mających na celu walkę z niekorzystnymi tendencjami demograficznymi wskaźnik dzietności w okresie rządów PiS w latach 2015-2018 wzrósł z 1,29 w 2015 roku do 1,43 w 2018. Jest to więc wzrost o 0,14. Nie jest to wynik na piątkę. Zwłaszcza, że w 2018 roku wskaźnik był niższy niż w 2017, a więc ciężko mówić o zmianie niekorzystnego dla nas trendu. Niska dzietność przejawia się niestety niskim lub ujemnym wskaźnikiem przyrostu naturalnego. W 2018 roku wg. GUS przyrost naturalny liczony na 1000 osób wyniósł -0,7 co oznacza, że w ubiegłym roku populacja Polaków się zmniejszyła. Ujemny przyrost notowany jest od 2013 roku co daje łącznie blisko 80 tysięcy Polaków mniej w latach 2013-2018.

Spada liczba zawieranych małżeństw, jednocześnie wzrasta liczba rozwodów. Liczba małżeństw zawartych w 2018 roku spadła w porównaniu z 2005 rokiem o około 15 tysięcy. Liczba rozwodów zaś oscyluje w tym samym przedziale, utrzymując się średnio na poziomie 65 tysięcy. W 2018 roku zawarto 192,4 tysiąca związków małżeńskich i jednocześnie odnotowano 62,8 tysięcy rozwodów. Jak z tymi negatywnymi zjawiskami odciskającymi swoje piętno na naszym społeczeństwie walczą politycy? Co zrobiły PO i PiS? Platforma nie zrobiła nic i nawet tego nie ukrywała. Jedynym pomysłem na

zniwelowanie skutków niekorzystnych tendencji demograficznych w obszarze gospodarki była likwidacja OFE i przesunięcie pieniędzy do ZUS celem ratowania tragicznej sytuacji instytucji odpowiedzialnej za emerytury przyszłych pokoleń. Podobny cel miało podniesienie wieku emerytalnego.

Prawo i Sprawiedliwość dla odmiany udaje, że coś robi np. wprowadzając 500+ który to program jak na razie nie przyniósł widocznych pozytywnych skutków w postaci wzrostu wskaźnika przyrostu naturalnego. Po cichu jako „lekarstwo” na problemy demograficzne PiS aplikuje rozwiązania importowane z Zachodu, prowadząc do powstania społeczeństwa „multi-kulti” ze wszystkimi jego konsekwencjami. W 2015 roku PiS zapewniał, że nie dopuści do inwazji imigrantów do Polski, jasno wyraził swój sprzeciw wobec planów przyjęcia ok. 7000 imigrantów oczekujących na relokację. Tymczasem jak pokazują dane pochodzące z oficjalnej strony migracje.gov.pl liczba cudzoziemców w Polsce dynamicznie rośnie. Poniżej dane o aktualnej liczbie cudzoziemców posiadających ważny dokument uprawniający do pobytu w naszym kraju. Widać wyraźnie że ich ilość wzrosła lawinowo po 2015 roku. Dotyczy to nie tylko coraz bardziej widocznych na ulicach Ukraińców, ale też bardziej egzotycznych mieszkańców Indii, Pakistanu, Bangladeszu, Uzbekistanu itp. Tak wygląda budowanie potężnej Polski i wstawanie z kolan. Jeśli ktoś nie wierzy, zapraszam do Warszawy która coraz bardziej nabiera Zachodniego, a nawet dalekowschodniego kolorytu.

Tabela 3. Liczba cudzoziemców posiadających ważny dokument uprawniający do pobytu w Polsce

Jeśli spojrzymy na ilość wydawanych pozytywnych decyzji dotyczących pobytu na terenie Polski cudzoziemców widoczna jest niepokojąca

tendencja w latach 2015-2018. W 2018 roku w przypadku imigrantów z Ukrainy i Indii nastąpił dwukrotny wzrost wydanych decyzji w stosunku do 2015 roku. Tak więc imigracja stała się dla PiS wygodnym sposobem na uporanie się z problemami demograficznymi. Pozwala to również na uzupełnienie brakujących rąk do pracy, co jako „palący” problem podnoszą organizacje zrzeszające pracodawców.

Tabela 4. Wydane decyzje pozytywne

Kraj pochodzenia	2015	2016	2017	2018	zmiana %
Ukraina	45346	64058	79237	89035	196%
Indie	1877	2810	4134	4497	240%
Turcja	1675	1712	2001	1943	116%
Pakistan	483	600	654	584	121%

Tym sposobem przechodzimy płynnie do drugiego obszaru w którym PO-PiS działają ręka w rękę. Pracodawcy narzekają na brak rąk do pracy wywierając presję na jeszcze sprawniejsze ściąganie imigrantów, nie patrząc na społeczne konsekwencje swojej pazerności. Informacja ze strony pracodawców wymaga doprecyzowania, że brakuje rąk do pracy ale za stawki które są na rynku! Rząd, który realizowałby interes narodowy nie bałby się interweniować na rynku pracy aby poziom zarobków odpowiadał realiom wzrostu gospodarczego i sytuacji ekonomicznej w kraju. Dlaczego przy okazji tematu braku rąk do pracy nie mówi się głośno o Polakach, którzy wyjechali za granicę w poszukiwaniu godnych warunków życia? W ten sposób wyemigrowało ok

2 milionów Polaków. W ich miejsce ściągani są cudzoziemcy, którzy mają pełnić rolę taniej siły roboczej.

Kolejnym problemem są i będą stale rosnące dysproporcje w zarobkach i malejący udział wynagrodzeń w PKB. Wzrost nierówności prowadzi do zaniku kolektywnych form solidarności prowadząc do dalszej atomizacji społeczeństwa. Malejący udział wynagrodzeń z kolei świadczy o tym, że w Polsce coraz większą rolę odgrywają dochody będące wynikiem zysku z posiadanego kapitału który podlega ciągłemu ruchowi. Zysk ten nie pochodzi z realnej działalności gospodarczej, a jest wynikiem postępującej finansjeryzacji polskiej gospodarki. Oznacza to, że zamiast inwestować np. w produkcję tworząc tym samym miejsca pracy korzystniej jest zainwestować kapitał na rynku finansowym np. za pośrednictwem funduszy inwestycyjnych lub innych instrumentów oferowanych przez wyspecjalizowane w tego typu operacjach instytucje. W ten sposób tworzone są bańki spekulacyjne, których destabilizujący wpływ na gospodarkę doskonale dał o sobie znać w czasie kryzysu finansowego z 2008 roku. Kolejne już czekają, mamy rynek nieruchomości na wynajem, kryptowaluty - jest w czym wybierać. Na koniec poruszmy jeszcze jedną kwestię związaną z polską gospodarką. Gdyby zapytać polityków PO-PiS o to jak postrzegają gospodarcze relacje pomiędzy Polską a Związkiem Sowieckim bez wahania odpowiedzieliby, że Polska w tej relacji była zależna od Sowieców, którzy nie mieli skrupułów aby tą zależność wykorzystywać również na polu politycznym. Co w takim razie w sytuacji kiedy nasze relacje gospodarcze z Niemcami zbliżone są swoim poziomem do relacji z Sowiecami w okresie Zimnej Wojny? Politykom PO zdawało się to nie przeszkadzać a nawet można by powiedzieć że taka forma asymetrycznych relacji im odpowiadała. PiS z kolei oprócz werbalnie wyrażonej krytyki nie jest w stanie przedstawić alternatywnej drogi dla Polski innej niż pozostawanie w zależności

gospodarczej od Niemiec. Poniżej widać wyraźnie wzrost w okresie rządów PO-PiS wysokości obrotów w handlu zagranicznym. Jedyne załamanie widoczne na wykresie było efektem światowego kryzysu.

Rys. 1 Wykres ze strony GUS informujący o wysokości obrotów w handlu zagranicznym

Sam wzrost wolumenów nie jest w sumie niczym złym. Można by powiedzieć, że to wspaniale że rośnie wzajemna wymiana handlowa, zwłaszcza w sytuacji kiedy mamy dodatni bilans handlowy (więcej do Niemiec wysyłamy niż kupujemy). Nie jest to jednak pomyślna wiadomość w sytuacji, w której 2017 roku Niemcy były naszym głównym partnerem handlowym z ogromnym udziałem w imporcie i eksporcie. Z Niemiec pochodziło 23,1% całego naszego importu a więc blisko 1/4. Z kolei do Niemiec trafiało blisko 30% naszej produkcji. Z kolei dla Niemiec wymiana zagraniczna z Polską ma drugo- jeśli nie trzeciorzędne znaczenie. Do Polski w 2017 roku trafiło zaledwie 4,1% niemieckiego eksportu. Import z Polski jest na zbliżonym poziomie i wyniósł w 2017 roku 5%. Dysproporcja jest ogromna, różnica 5-6 w relacjach handlowych pomiędzy naszymi krajami kładzie się cieniem na fetowanym w tym roku “sukcesie polskiej transformacji”. To jest jak zaznaczyłem na wstępie w zasadzie poziom relacji handlowych ze Związkiem Sowieckim z okresu PRL. Można powiedzieć, że Niemcom w warunkach pokojowych przy bierności polskich władz udało się wprowadzić w życie koncepcję Mitteleuropy. Otwarte pozostaje pytanie jaki jest poziom wpływów politycznych, które idą wraz z wpływami gospodarczymi? Żeby była jasność, nie jest to tylko problem Polski. W podobną zależność popadły Czechy, Słowacja i tak często stawiane za wzór Węgry. W mniejszym

stopniu asymetria w ramach wzajemnych stosunków handlowych i dominacja Niemiec widoczne są w przypadku Chorwacji oraz Słowenii. Opisuując w dużym skrócie bilans rządów PO-PiS pokazałem, że rządy PO i PiS nie różnią się od siebie. Pomimo akcentowanych różnic światopoglądowych, które moim zdaniem służą wyłącznie podnoszeniu temperatury sporu politycznego i mobilizowaniu elektoratu w oparciu o negatywne emocje obydwie partie mają na celu wyłącznie dalsze funkcjonowanie systemu, który daje im pieniądze i zwalnia z jakiegokolwiek odpowiedzialności. Podsyćcie istniejącego sporu póki on trwa daje możliwość wzajemnego oskarżania się i zrzucania na przeciwnika winy za wszystkie niepowodzenia i trudności jakie spotykają nasz kraj. To wygodna sytuacja, w której ani jedna ani druga strona nie musi podejmować wysiłku związanego z reformowaniem państwa i walką o dobro narodu. Wystarczy od czasu do czasu zrobić medialne show, poobrzucać się obelgami i toczyć zastępcze wojny, które marnują czas i energię. Społeczeństwo zamiast swoją energię i działania kierować ku rzeczom potrzebnym i niezbędnym dla prawidłowego funkcjonowania zdrowej tkanki społecznej, bierze w tym cyrku udział dając sobą manipulować. Sprzyja temu niestety wadliwy system polityczny, który w polskich warunkach ukazuje patologie związane z demokracją w liberalnym wydaniu. Nie bez powodu Arystoteles twierdził, że demokracja to ustrój zdegenerowany.

Na koniec

System polityczny w Polsce służy wyłącznie interesom dwóch największych partii i nie służy on interesom społeczeństwa. U władzy utrzymują się partie, które mimo utraty poparcia dysponują wciąż taką

samą lub nawet większą ilością miejsc w parlamencie. Partie te nie są zainteresowane zmianą tego systemu, od 2007 roku nie wprowadzono w tym obszarze żadnej istotnej nowelizacji. Pozwala im to na czerpanie korzyści finansowych w postaci subwencji i dotacji podmiotowych. Jest im na rękę powstawanie małych partii i ugrupowań które albo nie przekraczają progu wyborczego albo balansują na jego granicy. Dzięki temu mogą utrzymywać lub zwiększać swoją przewagę w parlamencie bez wysiłku związanego z walką o wyborców. Wystarczy, żeby jak najwięcej głosów padło na tych którzy do Sejmu się nie dostaną. Taka sytuacja prowadzi do zniechęcenia wyborców, do głosowania na mniejsze ugrupowania i składnia do przeniesienia swoich preferencji na PO-PiS. Finalnie prowadzi to do wchłonięcia takiego środowiska przez którąś z głów PO-PiS tak jak to miało miejsce w przypadku ugrupowań Janusza Palikota czy Ryszarda Petru oraz środowiska Pawła Kukiza. Innym efektem jest zniechęcenie do aktywnego uczestnictwa w polityce i prób jej zmiany. Jest to równoznaczne z zaprzestaniem jakiegokolwiek działalności w sferze "wielkiej polityki". Możliwa jest również sytuacja, w której część ugrupowań zadowolą się subwencjami bez konieczności rywalizacji w pełnej skali o miejsca w parlamencie (subwencja przysługuje przy przekroczeniu 3% poparcia, miejsca w parlamencie wymagają 5% poparcia) i zadowolą się odgrywaniem roli przystawki czy też pijawki. Dwugłowa bestia może więc w swoim środowisku działać bez obaw o swój los. Dysponuje odpowiednim zapleczem finansowym pochodzącym z subwencji i dotacji. W przypadku zdobycie większości umożliwiającą rządzenie przez któryś z łbów dodatkowo korzystać może z aparatu administracyjno-państwowego w celu utrwalania istniejącego systemu. Na rękę jest dla niej sytuacja, w której rywalizuje z fasadowymi partiami dla których celem istnienia jest pobieranie subwencji a nie zdobycie władzy. Dzięki temu PO-PiS może dalej rządzić z uwagi na korzystny dla

siebie system przeliczania głosów. Program czy idee nie mają znaczenia w takiej sytuacji. Czy PO za swoich rządów była faktycznie taka liberalna i postępową? Rządząc przez 8 lat mogła wprowadzić małżeństwa gejów i lesbijek, rozdział Kościoła od państwa i “tęczowe piątki” a nawet i niedziele. Podobnie PiS, ostoja “Prawdziwych Polaków” i bastion konserwatyzmu jakimi sukcesami może pochwalić się po 4 latach rządów? Gdzie zakaz aborcji i ochrona życia, co z rozliczeniem wielkich afer które tak szkodziły w Polsce, co z walką z imigracją i wstawaniem z kolan? No właśnie...

Obydwie partie walczyć natomiast będą z każdą inicjatywą której celem będzie zdobycie władzy i zmiana systemu. Tolerowane będą wyłącznie ugrupowania marginalne, często o dziwacznych poglądach, które zadowolą się rolą politycznego planktonu. Daje to dodatkową korzyść w postaci możliwości przedstawienia na potrzeby “ekspertów z Europy” dowodów na pluralizm polityczny obecny w Polsce. Radykalna zmiana jest w tym układzie niemożliwa. Wiatru który miałby przynieść zmiany na razie nie słyhać i nie zanoszą się na zmianę pogody. Pamiętajmy jednak, że aby doszło do ruchu powietrza zaistnieć muszą odpowiednie warunki zewnętrzne. Procesy na skutek których warunki się zmieniają potrzebują czasu. Zmiany społeczne, demograficzne będą wpływały na warunki w których funkcjonuje polska polityka. Również starzenie się dotychczasowych liderów (w sejmie VII kadencji wybranym w 2007 roku blisko połowa posłów to osoby w wieku powyżej 50 lat, w sejmie VIII kadencji odsetek ten wynosi już ponad połowę - 54%) wymuszać będzie zmiany na scenie politycznej. Najważniejsze to nie popadać w apatię, nie rezygnować. Idee są w odróżnieniu od ludzi nieśmiertelne. Dbać należy tylko o ludzi, którzy te idee będą w stanie przekazać innym. Można działać aktywnie poza sceną polityczną. Polityka parlamentarna to tylko jeden z obszarów ludzkiej działalności. Są jeszcze samorzady (niestety w

wielu przypadkach coraz bardziej upolitycznione i uzależnione od rozgrywek na szczeblu ogólnokrajowym), organizacje społeczne, organizacje działające przy kościołach itp. Można cele narodowe realizować śmiało tam gdzie są takie możliwości. Nie wyklucza to działalności w partiach politycznych. Przy tym trzeba być ostrożnym, żeby nie skończyć jako kolejny „Misiewicz” lub „Andruszkiewicz”. Uważać należy, aby działania taktyczne nie przesłoniły celów strategicznych. Należy uważnie obserwować i analizować wydarzenia, których jesteśmy świadkami. I przede wszystkim śledzić z uwagą zmieniające się otoczenie aby być gotowym we właściwym momencie rozwinąć żagiel i złapać wiejący wiatr zmiany.

Marcin Bebko

[\[1\]https://www.rp.pl/Polityka/170329929-Subwencje-dla-partii-politycznych-Ponad-miliard-zlotych-z-budzetu.html](https://www.rp.pl/Polityka/170329929-Subwencje-dla-partii-politycznych-Ponad-miliard-zlotych-z-budzetu.html)

[\[2\]https://www.wnp.pl/parlamentarny/wydarzenia/subwencje-i-dotacje-dla-partii-politycznych-na-co-wydaly-pieniadze-partie-w-2016-r,22290.html](https://www.wnp.pl/parlamentarny/wydarzenia/subwencje-i-dotacje-dla-partii-politycznych-na-co-wydaly-pieniadze-partie-w-2016-r,22290.html)

Bartłomiej Madej - Czym było Goralenvolk?

Zbliża się rocznica wybuchu II wojny światowej, a ostatnio coraz częściej podnoszony jest temat "Co by było gdybyśmy dogadali się z III Rzeszą?". Jak dobrze wiemy, do czegoś takiego nie doszło, jednakże na terenie Polski żyli ludzie którym udało się dogadać z Niemcami, a następnie utworzyć własny rząd. Była to grupa górali z polskich Tatr, których to działań nie chcę w tym artykule oceniać, a jedynie ukazać „suche fakty”, oceny zaś podejmę się w następnym numerze.

Po zajęciu przez Niemców we wrześniu 1939 Podhala przedwojenny działacz Obozu Zjednoczenia Narodowego dr Henryk Szatkowski zaczął przy wsparciu Niemców propagować ideę, jakoby górale byli pochodzenia germańskiego – Goralenvolk – naród (lud) góralski. 7 listopada 1939 Wacław Krzeptowski, działacz Stronnictwa Ludowego i człowiek Podhala w asyście Karoliny Gąsienica-Rój, Marii Siuty-Szwab, Stefana Krzeptowskiego i Józefa Cukiera złożył nowo przybyłemu na Wawel gubernatorowi generalnemu Hansowi Frankowi wyrazy uznania oraz wręczył mu złotą ciupagę. 12 listopada Frank udał się z rewizytą do Zakopanego, gdzie „w imieniu Górali” przywitał go Wacław Krzeptowski, który złożył podziękowanie za „oswobodzenie Górali od ucisku polskich władz” i wręczył mu pamiątkową odznakę góralską. 29 listopada 1939 Wacław Krzeptowski zwołał zebranie przedwojennego Związku Górali, które zaakceptowało ideę Goralenvolk i wystosowało memoriał „o potrzebach ludności góralskiej”. Należy podkreślić, że nie wszyscy działacze Związku Górali, w tym przedwojenny przewodniczący Henryk Walczak, poparli tę decyzję. Formalnie utworzono Goralenverein pod prezesurą Krzeptowskiego jako kontynuację Związku Górali. Niemcy zaakceptowali ideę Goralenvolku, zaś gubernator Frank stwierdził w kwietniu 1940, że władze niemieckie uczynią zadość woli Górali, którzy

chęcią stanowić odrębny szczebel. Wiosną 1940 powstała góralska szkoła powszechna (Goralische Volksschule), szkoła zawodowa (Goralische Berufsschule für Volkskunst) oraz klub sportowy (Goralische Heimatsdienst).

Największymi akcjami zorganizowanymi przez Komitet Góralski były operacja wymiany dowodów osobistych na kenkarty G i próba powołania do życia góralskiego legionu SS. Tę pierwszą zorganizowano w 1942 r. Rezultat akcji z punktu widzenia jej organizatorów był więcej niż umiarkowany. Na 150 tys. mieszkańców powiatu nowotarskiego góralską kenkartę przyjęło około 25 tys. osób, czyli 18 proc. Dużo to i mało zarazem. Z jednej strony w całej okupowanej Polsce nigdzie nie było większego odsetka podpisanych volkslist (całkowitym fiaskiem zakończyła się np. podobna akcja przeprowadzona na Kaszubach). Najwięcej góralskich kenkart wydano w Szczawnicy i Cichym (ponad 90 proc.).

Powołana jednostka Góralskiego SS miała być formowana pod patronatem Goralisches Komitee i jej Goralenfürsta Wacława Krzeptowskiego. Rekrutację rozpoczęto w czerwcu 1942, w szeregi formacji zgłosiło się 300 ochotników, a na szkolenie w obozie w Trawnikach zakwalifikowano 200. Liczne dezercje i konflikt w Trawnikach z ochotnikami z Ukrainy spowodował, że na szkolenie dotarło tylko kilkunastu, z których kilku przyjęto w szeregi Waffen-SS, zaś resztę wysłano na roboty przymusowe do Niemiec. Całkowita liczba goralenvolkowców członków Waffen-SS nie jest znana, podawane są liczby od 6 do 15 ludzi.

Wraz z wkroczeniem wojsk radzieckich na Podhale, skończyło się państwo góralskie i szerzenie idei goralenvolku. Jesienią 1944 Wacław Krzeptowski który wrócił z walk trwających na Słowacji, został powieszony za zdradę przez Armię Krajową.

Goralenvolk to bardzo trudny dziś temat i im później my jako Polacy chcemy się podjąć oceny jego, tym ciężiej nam o rozsądne podejście do tematu, jednakże już w następnym numerze Szturmu, postaram się o wywarzoną ocenę z mojej strony.

Bartłomiej Madej

Jarosław Ostrogniew - Krytyka zagadnień ekonomicznych. Część II: Teorie ekonomiczne i ekonomia naukowa

Niniejszy esej jest próbą sformułowania w miarę syntetycznej krytyki współczesnych problemów ekonomicznych z perspektywy nowoczesnego nacjonalizmu. Z powodu obszerności tekstu, podzieliłem esej na trzy części, które będą publikowane w kolejnych numerach „Szturmu”. W pierwszej części opisałem, jak funkcjonuje współczesny system ekonomiczny i dlaczego jest on patologiczny. W niniejszej - drugiej - części przedstawię krytykę popularnych teorii ekonomicznych, obecnych w dyskursie zarówno akademickim, jak i publicystycznym oraz potocznym. W trzeciej, ostatniej części, przedstawię kilka propozycji, jak może wyglądać sprawiedliwy i właściwy system ekonomiczny z punktu widzenia współczesnego nacjonalizmu.

Klasyczne teorie ekonomiczne, czyli myślenie i intuicja

Dyskusja o zagadnieniach ekonomicznych toczy się w ramach pewnego paradygmatu – zbioru pojęć i praw uznawanych przez uczestników dyskusji za prawdziwe i wyznaczających granice prowadzonych rozważań. Paradygmat obejmuje dyskusje specjalistów, polityków, czy publicystów zajmujących się zagadnieniami ekonomicznymi, a także zwykłych ludzi (zarówno przy piwie na grillu u szwagra jak i w ramach *gównoburzy* pod postem na facebooku). Ten istniejący paradygmat ekonomiczny był i w dużej mierze nadal jest wyznaczany przez klasyczne teorie ekonomiczne, z których najbardziej znane to szkoła austriacka i monetaryzm z jednej strony oraz keynesizm i interwencjonizm z drugiej strony (w wersji

zwulgaryzowanej te klasyczne szkoły to *korwinizm* i *lewakowanie*). Jak powszechnie wiadomo, zwolennicy szkoły austriackiej i monetaryzmu uważają, że własność prywatna lepsza jest od państwowej, a państwo nie powinno angażować się w kwestie ekonomiczne, bo te rozwiązuje niewidzialna ręka wolnego rynku. Z kolei zwolennicy keynesizmu uważają, że wspólne jest lepsze od prywatnego, a państwo powinno kontrolować rynek i interweniować w sytuacji kryzysu.

Problem polega na tym, że cała ta dyskusja jest w obecnych czasach mocno przeterminowana. Wynika to z faktu, że zmieniło się samo myślenie o ekonomii, co w dużej mierze wynika z pojawienia się nowego paradygmatu ekonomicznego związanego z przewrotem w metodologii badań ekonomicznych. W klasycznym podejściu ekonomię uważano za naukę w dużej mierze teoretyczną, w której głównym narzędziem poznawania zjawisk ekonomicznych był umysł ekonomisty. Mówiąc najprościej – wybitny myśliciel, który dużo czytał o zjawiskach ekonomicznych i sporo ich obserwował, wykorzystywał swój umysł do tego, aby lepiej je zrozumieć. Włączał głęboki namysł, dzięki któremu rozumiał, jak działają ludzie jako jednostki i jako grupy, jak rozporządzają swoimi pieniędzmi, a także jak działa cały rynek, jak zjawiska ekonomiczne zmieniają się w czasie i jakie uniwersalne prawa nimi rządzą.

W tym klasycznym podejściu ekonomia była blisko związana z naukami formalnymi czy z filozofią, w której poprzez namysł tworzy się pewne prawdziwe twierdzenia, a następnie drogą dedukcji wyprowadza się z nich kolejne prawdziwe twierdzenia. Obserwacje rzeczywistości ekonomicznej służą jedynie jako pewne ilustracje wymyślonych praw ekonomicznych - jako z życia wzięte przykłady potwierdzające prawdziwość wymyślonych wcześniej teorii. W ten sposób powstała szkoła austriacka i w ten sposób powstał też keynesizm. I dlatego też

dyskusja między tymi szkołami jest tak trudna – obie posiadają przyjęte *a priori* założenia co do tego, jak działa człowiek jako podmiot ekonomiczny oraz jak działa rynek. Natomiast obie te szkoły niekoniecznie interesują się tym, jak rzeczywiście działa człowiek i jak rzeczywiście działa rynek. Namysł jest tutaj ważniejszy od doświadczenia. Jednak we współczesnej ekonomii dokonał się pewien przełom, który doprowadził do odejścia od tych klasycznych wymyślonych teorii.

Nowoczesne teorie ekonomiczne, czyli powrót do rzeczywistości

Jeden z głównych problemów z ekonomią jako nauką polega na tym, że rzeczywistość ekonomiczna może być opisana za pomocą liczb, przez co wielu ludzi uważa ją za blisko powiązaną z matematyką. I rzeczywiście, w wielu obszarach ekonomia jest z matematyką powiązana i modele matematyczne są do dzisiaj z powodzeniem wykorzystywane w ekonomii. Jednak problem polega na tym, że ekonomia przede wszystkim opisuje rzeczywistość społeczną – to ludzie jako jednostki i jako grupy społeczne podejmują pewne decyzje ekonomiczne. I w tym sensie ekonomia jest nauką społeczną, nie matematyczną. A do badania rzeczywistości społecznej niezbędne są metody nie nauk formalnych, tylko nauk empirycznych.

Wyobraźmy sobie chemików, którzy na podstawie obserwacji rzeczywistości stworzyli pewien teoretyczny model podziału substancji na pierwiastki chemiczne posiadające określone właściwości. Korzystając z tego modelu, chemicy na papierze rozpisują reakcje zachodzące gdy różne pierwiastki chemiczne łączą ze sobą, ale ci sami chemicy nigdy nie sprawdzają w praktyce, co się naprawdę stanie, jeśli te pierwiastki rzeczywiście ze sobą połączymy. Podobnie funkcjonowała klasyczna

ekonomia – teoretycy kłócili się o to, jakie decyzje ekonomiczne podejmują ludzie i jakie skutki one przynoszą, ale żaden z nich nie pofatygował się, żeby sprawdzić, jakie decyzje ludzie podejmują naprawdę i jakie skutki naprawdę one przynoszą.

Empiryczne badanie zjawisk ekonomicznych, jako zjawisk realnie zachodzących w rzeczywistości społecznej, przynoszących realne skutki, których uczestnikami są prawdziwi ludzie, doprowadziło do weryfikacji większości założeń tworzonych przez klasyczne szkoły ekonomii. Można tutaj od razu zdradzić zakończenie – okazało się, że większość klasycznych teorii ekonomicznych jest nieprawdziwa. Mówiąc prościej – ani „austriacy”, ani „keynesiści” nie mieli racji. Jedni i drudzy zakładali, że człowiek podejmując decyzje ekonomiczne kieruje się przede wszystkim racjonalnym myśleniem, opartym na prostym rachunku zysków i strat (kłócili się jednak co do tego, jak ten rachunek rzeczywiście wygląda). Jednak tak naprawdę prawdziwi ludzie podejmując decyzje ekonomiczne w realnym życiu nie kierują się tego typu matematyczną racjonalnością. Ludzki umysł to nie kalkulator. Ludzie kierują się w dużej mierze intuicją, odruchami, uczuciami, a potem swoje decyzje racjonalizują. Ludzie podejmując decyzje ekonomiczne nie kierują się algorytmem - tylko tym, czego czują, że pragną, co im się podoba, a także tym, co powiedzą sąsiedzi i oczekiwaniami swoich bliskich. Właśnie dlatego nagrody nobla z dziedziny ekonomii otrzymują w ostatnich latach również psychologowie, którzy zajmują się badaniem umysłu człowieka i tego, jakiego typu racjonalności ludzie używają, aby podejmować decyzje ekonomiczne.

Kolejna sprawa to badania tego, jak funkcjonuje gospodarka jako system. I znów okazało się, że rzeczywistość ekonomiczna to nie królestwo idealnych platońskich modeli, które objawiają swoje uniwersalne prawa zamysłonym ekonomistom, tylko bardzo dynamiczna i chaotyczna

rzeczywistość, której funkcjonowanie jest uzależnione od mnóstwa czynników pozaekonomicznych. Najważniejszy wniosek ze współczesnych empirycznych badań nad systemem gospodarczym to, że nie ma rozwiązań uniwersalnych, które sprawdzają się zawsze i wszędzie. Zjawiska ekonomiczne są nierozzerwalnie powiązane z kulturą społeczeństw, w których zachodzą. I tak samo jest z rozwiązaniami określonych problemów ekonomicznych – będą one różne zależnie od czasu i miejsca. Rozwiązania przynoszące pozytywne efekty w jednym kraju, niekoniecznie sprawdzą się w innym.

Współczesna ekonomia musi być nastawiona nie tyle na tworzenie kolejnych formalnych teorii wszystkiego, tylko na ciągłe empiryczne badania dynamicznych zjawisk ekonomicznych. Ekonomia jako nauka może pełnić niezwykle ważną funkcję dla całego społeczeństwa – proponować rozwiązania konkretnych problemów zachodzących w konkretnym miejscu i czasie, a następnie kontrolować efektywność tych rozwiązań.

Nacjoniści a ekonomia, czyli nie walczmy w skończonych wojnach

Nacjoniści muszą zdać sobie sprawę przede wszystkim z faktu, że w ekonomii dokonała się ta wspomniana ogromna zmiana – przejście od myślenia formalnego do empirycznego badania zjawisk, co doprowadziło do zmiany w rozumieniu samych zjawisk ekonomicznych. Nie ma sensu tracić sił na prowadzenie dawno zakończonych wojen. Nacjoniści nie powinni roztrząsać, kto ma rację, czy monetaryści, czy keynesiści, czy może raczej marksiści. To są przestarzałe teorie ekonomiczne, interesujące dla historyków myśli ekonomicznej, ale które nie są przydatne przy rozumieniu współczesnych zjawisk ekonomicznych czy

proponowaniu rozwiązań palących problemów gospodarczych. Nacjonaliści nie powinni wiązać się z jakąkolwiek przeterminowaną szkołą, bo wówczas trafią razem z nią do muzeum albo co gorsza na śmietnik. Nacjonaliści powinni przede wszystkim interesować się współczesnymi badaniami z dziedziny ekonomii, teoriami ekonomicznymi tworzonymi na podstawie badań empirycznych. Powinni też uczestniczyć w tych współczesnych dyskusjach o zagadnieniach ekonomicznych, w których dawne teorie traktowane są co najwyżej jako ciekawostka. Klasyczne doktryny zostawmy doktrynerom żyjącym w bibliotece.

Jarosław Ostrognew

Patryk Płokita - „Nacjonalizm Nowej Fali”, część pierwsza, wstęp i geneza

Wstęp

Mówiąc o nacjonalizmie nowej fali, mam na myśli obecne szybko ewoluujące ruchy w Europie. Głównie chodzi o nasz kontynent, ale warto we wstępie napisać, że istnieją nacje na świecie, gdzie także rozwijają się współczesne ruchy nacjonalistyczne. (W nich także tytułowe pojęcie „Nacjonalizm Nowej Fali” powinno występować).

Kontynentem, spoza kontynentu zainteresowania, pozostaje Afryka.

Chodzi tu o Afrykanerów. Inaczej określa się ich mianem Burów.

(Głównie byli to potomkowie holenderskich emigrantów z czasów odkryć geograficznych, którzy wylądowali na Przylądku Nowej Nadziei w południowej Afryce). Współcześni Afrykanerzy mieszkają głównie w Republice Południowej Afryki. Jeśli chodzi o Azję, kręgiem zainteresowania mogą być Japończycy zamieszkujący wyspy japońskie, żyjący w specyficznej monarchii. Natomiast jeśli chodzi o kontynent amerykański, warto tutaj wytypować ruch alt-rightowy, idący „swoim torem” na terenie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

We wstępie dodam także, że w tym filozoficznym dyskursie pojęcie „Nacjonalizm Nowej Fali” użyłem na poziomie „meta”. Ma to odzwierciedlać większy zbiór, do którego będą wchodzić mniejsze pojęcia, zachowania i aktywy. Sam pomysł na określenie „Nowa Fala”, zaczerpnąłem od zespołów tzw. „New Wave”. Grały one i dominowały na scenie muzycznej na przełomie lat 70 i 80 XX wieku.

Nowa fala wywodzi się z idei grania punk rocka. Wytworzyła ona jeszcze inne, bardziej buntownicze i rebelianckie style, w ekspresji artystycznej,

zwłaszcza w muzyce, niż sam punk rock. Nowa fala łamała konwenanse. Wykorzystywała ona znane metody w uzyskaniu dźwięku i przekazu. Podobnie jak współcześni nacjonaści robią to w szerzeniu swojej idei. Wykorzystują oni stare metody i działania, ale nadają jej nową formę. Tak z założenia ma wyglądać Nacjonalizm Nowej Fali. Nie bez przyczyny doszło do porównania odmiennych procesów historycznych i stworzenia próby nowego pojęcia, jakim jest Nacjonalizm Nowej Fali. (Szerzej o genezie w dalszej części tekstu).

Jak wspomniałem wcześniej, pojęcie „Nacjonalizm Nowej Fali” użyłem na poziomie „meta”. Ma to być „większy zbiór” i tworzyć pewien „konglomerat zbiorczych pojęć”, głównie w postaci „zjawisk społecznych”, związanych ze współczesnym nacjonalizmem. Ma on składać się z „pomniejszych części składowych”, „zbiorów” i „aktywów inicjatyw”. W tym przypadku, dla przykładu, najmniejszym aktywem inicjatywy nacjonalistycznej pozostaje szczebel lokalnego aktywizmu, jakim może być: „przyklejanie wlepek na dzielni”, dokarmianie ubogich, sprzątanie lasu, organizowanie koncertów, zbiórki na domy dziecka itd. Na sam koniec wstępu dodam, iż „Nacjonalizm Nowej Fali” jako pojęcie, powstał na podstawie obserwacji współczesnych ruchów nacjonalistycznych.

Geneza

Nacjonalizm Nowej Fali, jako świeże pojęcie, autor wprowadził specjalnie, opierając się na podobnym pojęciu, „New Wave”, użytym wobec zespołów przełomu lat 70 i 80 XX wieku. Ma tu na myśli zespoły i muzyków zagranicznych takich jak np.: „The Cure”, „Blondie”, „Depeche Mode”, „Craftwerk”. Jeśli chodzi o polską scenę nowo-falową, warto wymienić zespół „Republika”, albo dalszą działalność składu „Siekiera”.

Nowa fala i powstające na jej bazie zespoły wprowadziły pewną świeżość w muzyce. Wykorzystywano w tym celu dostępne środki, znane już od dłuższego czasu. Widać to chociażby w wykorzystywaniu dawno znanych już instrumentów. Grano na nich inaczej i wydobywano inne melodie i dźwięki, dodając inną zupełnie ekspresję i przekaz.

Zespoły nowo-falowe lat 70 i 80 XX wieku zmieniły pewną percepcję oraz przekaz. Te dwa ostatnie stały się bardziej buntownicze, czy z perspektywy odkrywania głębszego siebie, sensu istnienia człowieka i jego celów w życiu. Oprócz tego, w tekstach piosenek, zespoły nowo-falowe, często podprogowo, z dosyć specyficzną dwuznaczną narracją, opisywały obserwowany świat. Opisywały otaczającą rzeczywistość codziennego życia w systemie. W tamtym czasie mogły być dwie opcje, ale opisywanie tego samego, materialistycznego marazmu i nihilizmu, jakim jest kapitalizm i komunizm. Ta sama moneta, ale dwa oblicza „realizacji planu materialistycznej filozofii”.

Narracja skupiała się na opisywaniu życia w systemie kapitalistycznym. Poruszano tematy jak jego wpływ na człowieka i jego „powolny zgon” czy wykorzystywania jednostki przez kapitalizm. Oprócz tego naciskano na przekaz, aby słuchacz uzyskał empatię i pewną percepcję, na przykład na tematykę „niesprawiedliwości społecznej w kapitalizmie”.

Krytyka kapitalizmu w ruchu nowo-falowym, w bloku państw kapitalistycznych, wydaje się, że wyszła mocno z buntowniczego punk rocka lat 70 XX wieku. Zakorzeniła się i ewoluowała w różnych kierunkach. Bunt i ekspresja zupełnie inaczej wyglądają w zespole Craftwerk, niż w zespole Depeche Mode. Tak samo wokalistka Blondie, zupełnie inaczej śpiewa i chyba najbardziej jej granie zbliżone jest do buntowniczego punk rocka lat 70 XX wieku, choć z nowymi naleciałościami swoich czasów. Nie zmienia to jednak faktu, iż wymienionych artystów łączy wyjście z „punkrockowego buntu i walki z

systemem”, który rozwinął się w różnych kierunkach, przy wykorzystaniu innych dźwięków, czy *imidżu* na scenie.

Jeśli chodzi o blok wschodni i tutejszą muzykę nowej fali, również opisywano rzeczywistość, w której się żyje, stawiając nacisk na „walkę z systemem”. Faktem pozostaje, iż stosowano inną narrację, niż w odpowiednikach zachodnich, z krajów pierwszego świata. Ponadto nadal funkcjonował buntowniczy przekaz w zespołach nowo-falowych z drugiego świata. Po prostu w bloku wschodnim, nie można było swobodnie i dosadnie opisywać komunistycznej rzeczywistości.

„Wielki Pan Brat Związek Sowiecki” mógł w każdej chwili „pozamykać prowodyrów”, albo wysłać na „ścieżki zdrowia”, za pomocą stworzonych rządów i państw satelickich zależnych od idei bolszewizmu. Dlatego też nowo-falowcy z drugiego świata skupili się jeszcze mocniej na stosowaniu dwuznacznych narracji w tekstach piosenek, głębokich metafor, wykorzystaniu formy poetyckiej, opisywania „dwuznacznego buntu” przyjmując „skórę lisa”, a nie frontalnie walcząc jak „biały niedźwiedź”.

Oficjalnie „tutejszy system” nie czepiał się zbyt wiele artystów nowo-falowych. Z założenia można było „mieć nad tym pieczę”. Przykładem chociażby kontrola zbuntowanej młodzieży i zespołów grających w Jarocimie, w czasach PRLu. Faktem pozostaje, że odpowiednie wytypowane służby próbowały kontrolować „zbuntowaną polską złotą młodzież” w ramach systemu (postaci Służb Bezpieczeństwa, aparatu władzy i jej propagandy itd.). Nie zmienia to jednak faktu, że podprogowo przekaz zespołów nowo-falowych z bloku wschodniego szedł w świat. Dokładnie szedł w świat przekaz walki o wolność i walki z systemem. Narracje piosenek o wewnętrznej czy zewnętrznej walce ze swoim bytem, aby być lepszym człowiekiem; bierny lub czynny bunt przeciwko

komunie. To wszystko funkcjonowało w narracji zespołów nowo-falowych w krajach drugiego świata.

Najbardziej dobitnie widać to w piosence zespołu Bajm „Nie ma wody na pustyni”. Ludzie tekst piosenki utożsamiali z walką. „Pustynia” stała się swoistą alegorią „komuny”. Ta „pustynia” nie dawała nic, zwłaszcza „wody”. „Woda” w tekście piosenki jest alegorią, pewnym archetypem życia, wolności, spokoju, błogiego stanu, szczęścia itd. A tego na pustyni nie ma, albo bardzo trudno znaleźć... Tak jak mięsa w sklepie, stojąc w kolejce od godziny piątej rano. Do tego dostajesz jakieś kartki i przydziały na ocet. Słyszysz w radio albo widzisz „Jaruzela” w telewizji, który zapowiada Stan Wojenny w *Polszy*. O czym artyści nowo-falowi mogli pisać? I jaki miał być podprogowy przekaz piosenki?

Wszystko, co zrobili nowo-falowcy w krajach drugiego świata, polegało na pragmatycznym, zdrowo-rozśądkowym, „partyzanckim myśleniu”.

Najlepszym przykładem jest właśnie zespół „Bajm”, z piosenką „Nie ma wody na pustyni”. Utwór ten nie uderza bezpośrednio w system.

Oficjalnie jest to piosenka o podróży przez pustynię, gdzie nie ma wody. Tak dygnitarze zrozumieli, przeszło dalej. Nie uderzało to oficjalnie w system, jednak nieoficjalnie dobitnie dawało energię, szczęście i siłę dla pokolenia żyjącego pod „czerwonym butem syfienia sowietyzacją”.

(Na koniec tego akapitu dodam, że w piosence zespołu Perfect „chcemy być sobą” podczas koncertów ludzie śpiewali „chcemy bić ZOMO”.

Dowody na to są z relacji świadków. Ludzie ze środowiska łatwo mogą to sprawdzić, pytając pokolenie „solidarnościowców”, często pewnie swoich ojców albo matek, „jak to z tą piosenką dokładnie było...”).

Zespoły nowo-falowe w swojej narracji i artyzmie szerzyły idee „walki z systemem”. Podobnie czynią to współcześni nacjonałiści idąc zasadą starych punków, aby... „f*ck the system”. Czy będzie to

kapitalizm, czy będzie to komunizm. Jedno i drugie krytykują, bo to ten sam system materialistyczny. Ta sama moneta, a dwa zupełnie oblicza. Inne twarze i metody działania, ale cel jeden: zniewolić człowieka i zrobić z niego „bezmózgą maszynę”. Ma to ułatwić kontrolę nad jednostką. Tylko po to, aby garstka osób mogła kontrolować większość, a w obecnych czasach nawet i cały świat w erze globalizacji. (Brzmi to trochę, jak „Nowy Porządek Świata”, jednak nie ma tutaj w zamiarze żadnej szurii).

Nacjonalista Nowej Fali się temu sprzeciwia. Chce dobra dla swojej nacji. W pewien sposób walczy o pokój dla swojego etnosu. Może nie na świecie i nie w ten sposób jak hippisi. Oni w porównaniu do współczesnych nacjonalistów mieli „długie kudły”, nie myli się i nie dbali o siebie... Odchodzili w meandry płytkiego szczęścia ku nihilizmowi, rozpamiętaniu i rozpaczce. Wszystko to przyprawione było na pokaz bierną szczęśliwością w danej chwili. Oczywiście przy ostrym ćpaniu i rozwiązłości seksualnej, aby pozbyć się człowieczeństwa. Stać się z założenia bliższym natury, jednocześnie zezwierzęcić się i wynaturzyć w ostateczności.

Dobrze, że ta dawka internacjonalistycznej subkulturowości odeszła do lamusa i na śmietnik historii! Jednak idee „neo-hipisowskie” nadal są żywe i aktualne. W nowej formie ewoluują i zmieniają się. Przeradzają się np. we współczesną legalizację aborcji czy legalizację „związków partnerskich”. Innym przykładem jest postawa „kochania wszystkich i wszystkiego”, z dużą nutą pogardy do siebie, zwłaszcza do kultury i cywilizacji „białego człowieka” (przecież to dla niektórych już brzmi zbyt rasistowsko!). Tworzą się nowe ideologie, w postaci chociażby „gender”.

Przez propagandę „neo-hipizmu”, zniszczone zostało pojmowanie

wolności jednostki. Powoli przeradza się ona w jej destrukcję, kierując ją prosto w łapy nihilizmu i „czarnowidztwa” „Dyktatura mniejszości” mówi większości jak ma żyć. Czy na tym polega demokracja? Demokracja to podobno rządy większości.

Wszystko przeradza się w rzucanie dyktatu? W imię „Arystokracji Wpływu Pieniądza”, która widzi wpływ i zysk na wspieraniu np. ruchów LGBT? „Roz*ieprzanie” jeszcze bardziej, w ramach systemu kapitalistycznego i demo-liberalnego, jakim są np. konotacje społeczne? Uderzanie w rodzinę, tradycję, religie? Wszystko po to, aby zniszczyć stary ład i stworzyć nowy ład, na zasadzie funkcjonowania „narkotykowego kartelu” Tylko po to, aby powstała era nieposkromionej dominacji Arystokracji Wpływu Pieniądza.

Wyobraźmy sobie świat pod władzą kartelu bogaczy. Pod dyktatem tych, co mają władzę, wpływy i środki. Pod wpływem też starej arystokracji rodowej, która wykorzystuje konotacje rodzinne w ramach przestarzałych monarchii. Czy może inne systemy totalitarne, jak na przykład zamordystyczna Korea Północna? Wszystko po to by kontrolować jednostkę. Wszystko po to, aby kontrolować narody. Wszystko po to, aby kontrolować świat.

Nacjonalista Nowej Fali jest „kontrą” do tego *status quo*. Pomimo tego, że u sterów systemu jest pokolenie „Rewolucji Seksualnej roku 1968”. Pomimo tego, że na ulicach, w mediach, social-mediach, jest antifa i lewactwo, wyrosłe jak „muchomory sromotnikowe” po dobrej ulewie. Nacjonalista Nowej Fali w genezie sprzeciwia się materializmowi, jako filozofii zajmującej się tylko i wyłącznie na fizyczności otaczającego świata. Niszczącej ducha i psychikę jednostki. Niszczące struktury społeczne i narodowe. Przeciwno temu sprzeciwia się głównie współczesny nacjonalizm! W ramach tego daje inne filozofie życia, jak nacjonalistyczny straight edge, *nowe średniowiecze*, rewolucja

narodowo-kolektywistyczna, demokracja bezpośrednia, i inne rzeczy, które możecie przeczytać m.in. w czasopiśmie „Szturm”! (Szturm jest ideową tubą Nacjonalizmu Nowej Fali. I chyba tak już pozostanie).

Materializm wyciska do cna człowieka. Robi z niego bezmózgą maszynę, dla której nie ma miejsca na rozwój duchowy. Żelazna kurtyna może i runęła, ale pewne procesy historyczne powtarzają się i pojawiają się w innych dziedzinach życia, jakim jest chociażby współczesny nacjonalizm w Europie, w pierwszej dekadzie XXI wieku. Nadchodzi nowe pokolenie walki z nihilizmem i materializmem.

Podsumowanie części pierwszej

Idea nacjonalistyczna ewoluuje. Nie jest ona stała. Ona musi dostosowywać się do warunków, w jakich żyjemy. Ponadto musi pozostawać nową formą ekspresji przekazywania myśli, dla chociażby nowych odbiorców jak i „starych” działaczy. Dlatego też czasopismo Szturm, trzeba uznać za „ideologiczną tubę” nacjonalizmu nowofalowego.

Czasopismo „Szturm” pozostaje nową formą przekazywania myśli w cyberprzestrzeni, ale starymi metodami, za pomocą słowa pisanego. Szturm jest też pewną formą konglomeratu przekazywania rozważań na tematy ważne, „kręcące się wokół szeroko pojmowanego ruchu narodowego”. Tworzy on swoisty „think-tank”. Ta „platforma” nie powstała bez przyczyny. Jej głównym celem było z założenia przesyłanie myśli i idei, opierającej się na szeroko pojętej idei narodowej. Szturm stał się też formą „dodawania cegiełki”, do „większego projektu”. (Trwa to aż od jego powstania do chwili obecnej. Warto o tym przypomnieć i nie

zapominać o tym!) Szturm to idea budowania czegoś większego, jakim miał być i jest oddolny, organiczny, ruch nacjonalistyczny w Polsce, ale i nie tylko, bo i jego wpływy odnotowywane są w całej Europie.

Patryk Płokita

Maksymilian Ratajski - Przeciwno szurii i upadkowi szczepień – rzecz o antyszczepionkowcach

Narodowe grupy na Facebooku zawrzały – spór o obowiązek szczepień wywołał burzę. Wydawać by się mogło, że koniec drugiej dekady XXI wieku, to przynajmniej w Europie czas, kiedy ludzie mają świadomość, że to dzięki szczepionkom udało się pokonać odrę, ospę prawdziwą czy polio. Okazuje się jednak, że na skutek działań antyszczepionkowców (zwanych dalej proepidemikami) coraz więcej rodziców odmawia szczepienia swoich dzieci. Nie jestem lekarzem, więc zacznę od polecenia tekstu Pawła Mazura - „Szczepienia w odwrocie -czy jesteśmy u progu ery „wymarłych” chorób?” Zawierający dużo merytorycznej wiedzy, sam również posiłkowałem się tym artykułem przy pisaniu.

Ostatnie lata przyniosły powrót do Polski dawno zapomnianych w naszym kraju chorób, takich jak odra. Pozwolę sobie zacytować wspomniany już wcześniej artykuł Pawła Mazura: „Przed erą szczepień, w Polsce rocznie chorowało od 70 do 200 tysięcy pacjentów. Notowano rocznie 200-300 zgonów. W Europie w 2017 roku zanotowano trzykrotnie większą liczbę zachorowań. Liczba ta wynosiła odpowiednio 14 451 w roku 2017 i 4643 w roku 2016. Choroba dotyczy wszystkich grup wiekowych (45% dotyczyło osób powyżej 15 r.ż.). Jednak najwięcej zachorowań zanotowano u niemowląt poniżej 1

roku życia, które są zbyt małe, by mogły być zaszczepione. Epidemiolodzy są zgodni, że dane te są wynikiem zbyt niskiego stanu zaszczepienia – w 20/27 krajów UE wynosi on mniej niż 95 %. Przypomnijmy – 95 % stan zaszczepienia zapobiega obiegowi wirusa z populacji, czym chroni ludzi niezaszczepionych – w tym noworodki, zbyt małe, by być zaszczepione oraz osoby z niedoborami odporności, które są przeciwwskazaniem do szczepienia. Należy także wspomnieć, że od początku 2016 roku odnotowano ponad 50 przypadków zgonów z powodu powikłań odry.

Zachorowalność koreluje w prosty sposób z prawem szczepionkowym poszczególnych krajów UE. Na stronie internetowej Europejskiego Centrum Zapobiegania i Kontroli Chorób możemy znaleźć prostą “porównywarke” obowiązku szczepień w poszczególnych państwach UE ([link](#)). Możemy teraz w łatwy sposób stwierdzić, że brak obowiązku szczepień powoduje znaczący wzrost zachorowań na tę chorobę: Rumunia – 5560, Włochy* – 5000, Grecja – 967, Niemcy- 929 (dane na rok 2017).”

Te straszne dane, mocno się jednak zdezaktualizowały, 2018 rok to już 82,5 tysiąca zachorowań na odrę w całej Europie! Do Polski przybywa coraz więcej imigrantów z Ukrainy, bardzo często niezaszczepionych, co w połączeniu z działalnością ruchów proepidemicznych powoduje katastrofę.

Proepidemicy często wysuwają argument o rzekomym powodowaniu przez szczepionki autyzmu. Ta nie mająca

żadnych podstaw faktograficznych bajka ma swoją genezę w badaniu sfałszowanym przez skompromitowanego lekarza, który zresztą został za to pozbawiony prawa do wykonywania zawodu. Ów pan kłamał dla pieniędzy. Wakefield na łamach cenionego pisma „Lancet” twierdził, że szczepionka MMR (skojarzona przeciwko odrze, śwince i różyczce) jest winna autyzmowi. Podobnie obalono twierdzenia, że za autyzm odpowiada triomersal – związek rtęci występujący w szczepionkach. Co ciekawe – badania Wakefielda przeprowadzono na 12 dzieciach, obalające je badania na 1,2 mln (The University of Sydney), oraz 657 tys. (Dania, opublikowane w „Annals of Internal Medicine”).

Oprócz bajek o autyzmie w szczepionkach, proepidemiccy posługują się także argumentem o „wolności wyboru”. Zapobieganie epidemiom jest o wiele ważniejsze niż czyjeś dobre samopoczucie. Liberalizm spod znaku pana w muszce (którego jeszcze w tym tekście wspomnę), wpoił wielu ludziom błędne myślenie, że nie liczy się odpowiedzialność za siebie i innych, a jedynie błędnie pojmowana „wolność” jednostki. Istnieją osoby, które nie mogą być szczepione ze względu na przeciwwskazania zdrowotne, oraz dzieci zbyt małe na przyjęcie szczepionki, jednak one również są chronione przez odporność zbiorową, oczywiście jeżeli zaszczepione jest 95% populacji.

Płaskoziemcy, chojecczanie (wyznawcy pewnego pastora, który zasłynął dzięki „narodowemu kandydatowi na

prezydenta”), osoby twierdzące, że wszyscy Ukraińcy to „banderowcy” i powinniśmy wspólnie z Rosją dokonać rozbioru „UPAdliny” bo „to pseudo-państwo bez historii” (skojarzenia z „bękartem traktatu wersalskiego” nasuwają się same), czy przeciwnie – zwolennicy teorii, że zła pogoda to wina Putina... Szuria ma wiele odmian, proepidemicy wyróżniają się tu jednak zagrożeniem jakie niosą. Jeżeli ktoś mówi, że Ziemia jest płaska, to jest po prostu niegroźnym wariatem, którego nikt nie traktuje poważnie, niestety osobniki głoszące, że szczepionki odbierają wolność i powodują autyzm zyskują coraz szersze grono słuchaczy, dezorientowani rodzice odmawiają szczepienia swoich dzieci ulegając psychozie strachu. Proepidemicy zdecydowanie nie są niegroźnymi wariatami, ich działalność naraża dzieci na śmierć lub kalectwo.

„Lekarze kłamią bo płacą im koncerny farmaceutyczne, a każdy kto popiera szczepienia to lewak/debil/płatny troll”. Ciężko rozmawiać z taką „argumentacją”. Na ochronie zdrowia nie znajdują się osoby po studiach medycznych, także te z tytułami profesora lub doktora, bo całą wiedzę posiada agentka ubezpieczeniowa. A nawet jeżeli się znają to kłamią za pieniądze, jak Wakefield (choć jemu płacono za stworzenie bajki o autyzmie).

Kim są liderzy polskiego ruchu proepidemicznego? Doktorami nauk medycznych? Wybitnymi pediatrami? Nie! Twarz proepidemicznych Justyna Socha to była

agentka ubezpieczeniowa, jej koledzy również nie mają nic wspólnego z fachowym wykształceniem medycznym. Cztery lata temu Justyna Socha kandydowała do Sejmu z pierwszego miejsca na liście Kukiza w Poznaniu, na szczęście się nie dostała - był to jedyny okręg, w którym nie uzyskał on mandatu. Teraz znalazła się na liście Konfederacji w stolicy Wielkopolski. Korwin-Mikke wraz z Winnickim umożliwiają proepidemikom start, zresztą sam pan w muszce zabłysnął twierdzeniami o konieczności przechorowania niektórych chorób. Nawoływanie do epidemii powinno być karalne, podobnie jak odmowa szczepień. Rodzice słuchający bredni proepidemików narażają swoje dzieci na utratę życia lub zdrowia, jednak nie tylko je, ponieważ o odporności zbiorowej chroniącej całą populację możemy mówić przy stanie zaszczepienia co najmniej 95%. Szczepionki są jednym z największych osiągnięć ludzkości – to dzięki nim pokonano ospę prawdziwą, przy której śmiertelność wynosiła 30% (wśród nieszczepionych, u zaszczepionych 3%), a w przypadku niektórych odmian nawet 93%, zapomnieliśmy także o polio, którego epidemię przeżywaliśmy w Polsce kilkadziesiąt lat temu (do tej pory wiele osób pozostaje kalekami przez przebytą w dzieciństwie chorobę). Także odra do niedawna wydawała się być historią. Niestety masowo zaczęli przyjeżdżać do nas nieszczepieni Ukraińcy, a proepidemicy zyskali posłuch wśród części rodziców, którzy ulegli psychozie strachu przed autyzmem (choć to kłamstwo wielokrotnie już

obalono). Pamiętajmy też, że nawet jeżeli osoba zaszczepiona zachoruje, choroba ma znacznie lżejszy przebieg.

Maksymilian Ratajski

Bibliografia:

<https://narodowcy.net/pawel-mazur-szczepienia-w-odwrocie-czy-jestesmy-u-progu-ery-wymarlych-chorob/>

<https://www.crazynauka.pl/ponad-trzy-razy-wiecej-zachorowan-na-odre-w-europie/>

<https://www.crazynauka.pl/kolejne-badania-potwierdzily-ze-szczepienia-nie-wywołują-autyzmu/>

Wojciech Titz - Nacjonalizm po stronie ludzi pracy

W szerokiej masie ludzi identyfikujących się jako nacjonaści lub narodowcy coraz to większy poklask zdobywa szukanie konsensusu między nacjonalizmem a idea kapitalistyczną. W końcu kapitalizm stanowi pełne urzeczywistnienie wolności jednostki, która stanowi podstawowy element wspólnoty narodowej. Jest to jednak mit a twierdzenie jakoby nacjonalizm był w stanie zaakceptować postulaty kapitalizmu to okropna wulgaryzacja idei narodowej.

Przedstawienie ideologów kapitalizmu oraz ich błędy

Jedynymi z najpopularniejszych ideologów kapitalizmu możemy bez wątplenia nazwać Friedricha Hayeka oraz Milтона Friedmana. Ich poglądy oraz myśli w dużej mierze stanowią główne postulaty idei kapitalistycznej w dzisiejszych czasach. Przyglądając się tezom oraz stwierdzeniom wcześniej wspomnianych ekonomistów ciężko dopatrywać się możliwości kooperacji teorii kapitalistycznych z myślą narodową. Kapitalizm już w swoich elementarnych podwalinach deklaruje się jako idea nastawiona na indywidualistyczne zyski jednostki. Oczywiście wszystko jest ubrane w piękne słowa, co potwierdzają między innymi książkami samego Hayeka. Wcześniej wspomniany Hayek sprytnie manipuluje słowami używając przykładowo terminu „wymiany” jako synonim „handlu”. Jest to błąd uwzględniając fakt, że słowo „wymiana” ma znaczenie dużo szersze od słowa „handel”. Wymianą możemy bezproblemowo uznać oddanie jakiejś wartości w zamian za wartość podobną lub równorzędną. Handel ma jednak taką specyfikę, że jest rodzajem wymiany w którym dąży się do maksymalizacji nie ogólnej

korzyści ale zysku indywidualnego, co z reguły prowadzi do straty bądź też pomniejszenia ogólnej korzyści wpływającej z faktu wymiany. Przyglądając się samej retoryce możemy zauważyć że kapitaliści pośrednio boją się przyznać do prostego faktu, że ich idea nie była nastawiona na rozwój całej komórki społecznej od rodziny po coraz to większe grupy, a jedynie na egoistycznych zyskach jednostek, które nijak nie da się połączyć z ideą pronarodową w końcu opartą o chęć rozwoju całej komórki społecznej jaką jest naród.

Im dalej w las tym zaczyna się robić coraz to ciekawiej, gdyż Hayek znowu pokazuje jak idea kapitalistyczna ma się do spraw idei narodowej mówiąc: „Kooperacja jest natomiast zupełnie pozbawiona sensu, gdy problem polega na dostosowaniu się do nowych warunków”. Te zdanie jest o tyle bezsensowne, że zahacza o wyższe stadium głupoty. W sytuacji nowych warunków, które powinniśmy uznać za sytuację potencjalnego zagrożenia kooperacja jest najlepszym możliwym sposobem poradzenia sobie z danym problematycznym zagadnieniem. Hayek tymi słowami pokazuje wprost jak bardzo indywidualistyczne podejście ma kapitalizm do spraw, które mogą dotknąć społeczeństwa. W sytuacji zagrożenia w sprawach, które mogą dotknąć całego narodu z perspektywy nacjonalisty nie powinno być ważne czy sposób rozwiązania tego problemu odnalazł podmiot X czy Y. Robert Merton (amerykański socjolog) wskazał, że między innymi w dziedzinie nauki, która jest właśnie typowym zderzeniem człowieka z materią nieznaną lub mało poznaną kooperacja i wspólnota pozytywnie wpływają na rozwój badań.

Mit wolności kapitalizmu

Kapitaliści często powołują się na tezę, według której kapitalizm jest ideą wolnościową, gdzie dokonujemy dobrowolnego wyboru. Wielu

nacjonalistów, którzy źle interpretują słowo wolność łykają niczym młode pelikany to, co na tacy podają im wolnorynkowy, powtarzając potem steki kłamstw. Kapitalistyczna wolność to wolność przy podejmowaniu decyzji, co chcemy kupić, za jaką cenę, oraz gdzie chcemy pracować i za jaką stawkę i na jakich warunkach. Wszystko oczywiście brzmi pięknie, ale jedynie w teorii. Kapitałiści oczywiście przy okazji podczas rozmów z szarymi pracownikami zapominają dodać że chcą zlikwidować kodeks pracy, który stanowi ostatni bastion wolności robotnika i pracownika. Kapitalizm promowany przez wyznawców „narodowego kapitalizmu” itp. twórców często opiera się na prostych anegdotach niejakiego Janusza Korwina-Mikke, które poza prostotą przekazu nie zawierają w sobie żadnej wartości, gdyż są nieadekwatne do realiów aktualnego świata. Kapitalizm oferuje nam wolność na zasadzie „kto nie pracuje ten nie je”, a nawet jak pracuje to często na to jedzenie go nie stać. Kapitalizm jest owszem ideą wolnościową, ale jedynie dla wąskiej kasty ludzi posiadających spory majątek dzięki, któremu mogą w pewnym sensie zniewalać pracownika najemnego poprzez narzucenie niskich stawek płac czy wydłużenie czasu pracy. Kapitalista jest osobą skupiającą się na maksymalizacji swoich zysków i często odbywa się to poprzez minimalizację kosztów pracy.

Nacjonalizm jako idea wyzwolenia pracownika najemnego

Jako nacjonałiści walczymy o dobro całego narodu, a nie jedynie jednostek posiadających majątek wyższy od większości członków wspólnoty narodowej. Rozumiemy i szanujemy ich wkład w rozwój naszego państwa, jednak nie możemy zapominać o pracowniku najemnym, bez którego nasze państwo oraz gospodarka nie mogą funkcjonować. Nacjonałiści powinni szukać jak najlepszej alternatywy dla

systemu kapitalistycznego, nie zaś dogadywać się z nim. System gospodarczy w państwie rządzonym przez nacjonalistów powinien opierać się na równomiernym rozwoju gospodarczo-ekonomicznym państwa a co za tym idzie dobrobytu społeczeństwa. Nie możemy pozwolić na to, aby kapitalizm dalej siał zamęt i raka na ciele idei narodowej. Naszym celem jest wyzwolić wszystkich spod jarzma kapitalistyczno-liberalnej junty, która stara się pogłębić rozwarstwienie społeczne oraz zasiać podświadomą wrogość do członka tego samego narodu. Solidaryzm narodowy powinien być podstawą naszej idei, a co za tym idzie powinien warunkować wrogość do czynników jemu (tj. narodowi) wrogich. Dlatego pamiętajmy o tym, że tylko poprzez wspólną pracę osiągniemy rozwój naszego państwa i narodu, nie zaś poprzez ciągłe spekulacje i zakłamywanie faktów na temat kapitalizmu, który jakoby stanowi jedną słuszną alternatywę.

Wojciech Titz

Filip Waligórski - Ku ludowości

Kilka numerów temu poruszałem kwestie działalności lokalnej, teraz chciałbym skupić się na lokalnym myśleniu oraz poczuciu moim zdaniem najważniejszego ale też najbardziej dziś lekceważonego elementu tożsamości każdego z nas, jakim jest tożsamość lokalna.

Zacznijmy więc od początku, czyli definicji tożsamości. Tożsamość polega na przypisywaniu innym jednostkom oraz sobie samemu identyfikacji z jakimiś elementami rzeczywistości. Znamy wiele rodzajów tożsamości- płciową, rasową, narodową, klasową itd.

Rodzajem tożsamości, na którym chcę się skupić jest tożsamość lokalna. Opiera się ona na najbliższym nam własnym ludzie (z którym czujemy więź), posiadającym własną kulturę historię i tradycję.

Warto też na wstępie przybliżyć wydawało by się oczywisty termin „Ojczyzna”, które to pojęcie trzeba jednak rozgraniczyć na dwie kategorie: ojczyznę realną i wyobrażoną. Ojczyzna realna (zwana często małą ojczyzną) to wszystko to z czym jesteśmy realnie związani, z czym możemy obcować na co dzień- nasza najbliższa okolica, miasto, najbliższe wsie, lasy, rzeki, czy w końcu ludzie i kultura. Zaś Ojczyzna Wyobrażona to np. Polska czy Europa, tj. terytoria na tyle duże, że nie jesteśmy w stanie w realny sposób obcować z nimi na co dzień, a identyfikacja z nimi odbywa się raczej na zasadzie bardziej umownej niżli w przypadku poczucia realnego przywiązania do ziemi w której jest się zakorzenionym. W zdecydowanej większości nacjonaści są mieszkańcami miast. Z moich prywatnych obserwacji wynika, że w naszym środowisku dostrzegalny jest wręcz lęk przed prowincją. Pamiętać jednak należy, że to właśnie z prowincji również zdecydowana większość z nas się wywodzi. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu wielu z naszych przodków było mieszkańcami

terenów wiejskich. Gwałtowna urbanizacja oderwała ich jednak od pierwotnych siedzib, poprzez presję ekonomiczną zmuszając ich do przeniesienia się do miast.

Europejskie miasta jednak z symboli dumy i potęgi, którymi były przez lata, stały się pustymi bezbarwnymi molochami które poza zabudową historyczną, zazwyczaj ulokowaną centralnie, są morzem betonu, socrealistycznych bloków, i korporacyjnych wieżowców, wykorzeniających naszą tożsamość, zabijających więzi między ludzkie. Socjalizm ze swoją skrajną polityką wynaradawiania polskich ludów, i ze swoimi blokami z wielkiej płyty, jak i kapitalizm ze swymi galeriami handlowymi i amerykańską kulturą dokonały w kilkadziesiąt lat spustoszenia całej naszej kultury (a raczej kultur), która trwała na naszych ziemiach od lat kilkuset. Większość gwar przez „polonizację” dokonaną przez komunistów praktycznie wyszła z powszechnego użycia. Udało się je zachować tylko garstce ludów na czele ze Ślązakami i Kaszubami (w których to przypadku należy mówić raczej o odrębnych językach). Jednak nawet tak krwiożerczy rak jakim był komunizm nie zdołał wypłenić naszych lokalnych gwar całkowicie. Jeśli ktoś myśli, że będąc mieszkańcem Lublina, Radomia, Kielc czy Łodzi nie posiada własnego dialektu/gwary ten znajduje się w ogromnym błędzie. Każdy region Polski wciąż charakteryzuje się własnymi cechami językowymi. Niektóre nawet w takim stopniu że mogą sprawiać problemy w zrozumieniu mieszkańcowi innej części naszego kraju. W większości przypadków nie zobaczymy tego w miastach, jednak jeśli wyjedziemy kilkanaście kilometrów za nie i podejmiemy dyskusje ze starszymi ludźmi okaże się, że jesteśmy już w innym świecie. Istnieje wiele słowników gwarowych, jak i stron internetowych, na których możemy znaleźć elementy odróżniające nasze lokalne języki od będącego w powszechnym użyciu Polskiego. Ktoś może zacząć się burzyć „jak to? Co mi się nie

podoba w języku Polskim dlaczego wszyscy Polacy nie mogą mówić tak samo, mieć takiej samej kultury?” Nie możemy jej mieć ponieważ z zasady jesteśmy inni, naród Polski jest historycznie tworem, na który złożyło się kilkadziesiąt zakorzenionych we własnej ziemi ludów, a my jako nacjoniści czyli ruch zdecydowanie tożsamościowy, nie powinniśmy w żadnym wypadku walczyć z wewnętrzną polską różnorodnością, ale kultywować ją tak bardzo jak to możliwe. Uczyńmy ją batem na wspólną dla kapitalizmu i socjalizmu uniformizację. Czucie się Ślązakiem, Radomianinem czy Rzeszowiakiem nie ma być dodatkiem do polskości, nie ma jej też przeczyć, wręcz przeciwnie ma być dla Ciebie solidnym fundamentem, na którym oprzesz swoją tożsamość narodową. Tak jak na swojej polskości opierasz tożsamość europejską.

Jak więc pogłębić swoją więź z ziemią poza nauką lokalnego dialektu? Niemal w każdym regionie etnograficznym znajdziemy muzea zajmujące się promowaniem tegoż właśnie regionu. Odwiedziny w takim miejscu powinny być moim zdaniem obowiązkowe dla każdego, kto chce zwać się nacjonalistą. Znajdziemy w nich często przykłady lokalnej architektury wiejskiej, a zawsze dorobek kultury ludowej (rzeźby w drewnie, hafty, ludowe stroje, obrazy religijne). Spotykaj się też ze starszymi ludźmi czy to z twojej rodziny czy też spoza niej (szczególnie z mieszkańcami wsi), możesz od nich uzyskać informacje, których nie usłyszysz od najlepszych etnografów badających Twój region.

Kolejną obowiązkową powinnością jest jak najgłębsze zwiedzenie i poznanie swojego regionu. Piesze wędrówki powinny być nieodłącznym elementem pogłębiania naszego zakorzenienia. Z przykładem wychodzi nam Rumuńska Żelazna Gwardia, w ramach której takowe obowiązkowe wędrówki odbywały się raz w tygodniu. Jeśli chodzi o inspiracje to warty uwagi jest także niemiecki ruch młodzieżowy Wandervogel, o którym

swego czasu ukazał się w „Szturmie” artykuł Marty Niemczyk, do którego serdecznie odsyłam.

Moim zdaniem kwestie, które wymienilem to zdecydowanie najlepsze kroki „na start” do odbudowy lokalnych tożsamości, nie czekaj więc i zacznij realizować je już dziś.

Skoro omówiliśmy kwestię „ziemi”, teraz pora na krew. Szkoły nie uczą o lokalnych bohaterach, zdobywaj więc o nich wiedzę samemu. Być może odkryjesz także jednostki zapomniane poprzez swoją działalność antysystemową? Pamiętając i czcąc swoich lokalnych bohaterów nie popadaj jednocześnie w rocznicowy cukierkowy patriotyzm. Podchodź do tego jak najbardziej mistycznie, niech czerń zmroku i płonące pochodnie dodadzą powagi uroczystościom historycznym, które organizujesz. Gdy mówimy o pamięci o lokalnych bohaterach od razu przychodzą nam do głowy żołnierze, rycerze czy działacze polityczni, ludzie którzy nasączyli ziemię swą krwią w ramach walk na polach bitew czy ulicach.

Zdecydowanie to oni położyli kamień węgielny pod naszą obecną egzystencję jak i przetrwanie naszych wspólnot, jednak pamiętać trzeba także o społecznikach, artystach, inżynierach i wszystkich innych, którzy swoim dorobkiem dołożyli cegiełkę do rozwoju twojego regionu.

Niech nasz Patriotyzm przypomina ten Żelaznej Gwardii noszącej na szyjach woreczki z ziemią przesiąkniętą krwią rumuńskich bohaterów. To patriotyzm ludzi odczuwających realną duchową więź ze swymi przodkami. Niech jego fundamentem będzie poniższy cytat Kapitana który moim zdaniem najlepiej podsumuje ten tekst.

„Wojny były wygrywane przez tych, którzy potrafili przywołać tajemnicze niewidzialne siły z zaświatów i zapewnić sobie ich pomoc. Te tajemnicze siły to dusze zmarłych, dusze naszych przodków, którzy byli przywiązani do tej ziemi, do naszych pól i lasów, i którzy zginęli w

*obronie tej ziemi, a dzisiaj są przywoływani, dzięki pamięci o nich,
przez nas – ich wnuków i prawnuków.”*

Filip Waligórski

Filip Waligórski - Netflix zabija rasę

Zdecydowana większość czytających zapewne zdaje sobie sprawę czym jest tytułowy Netflix. Dla niezaznajomionych z tematem skrótowo wyjaśniam, że jest to internetowa wytwórnia i wypożyczalnia filmów i seriali, szczególnie od jakiegoś czasu popularna wśród polskiej młodzieży. Nie uważam się za jakiegoś specjalistę od Netflixa, bo od początku słyszałem i spodziewałem się co ta wytwórnia ze sobą niesie więc raczej nie było mi z nią po drodze, jednak to co miałem okazję tam zobaczyć, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. W czasie ładowania filmu na popularnym serwisie filmowym CDA wyświetliła mi się reklama animowanego serialu dla dorosłych produkowanego właśnie przez tą wytwórnię, już sam zwiastun dość mocno mnie zaintrygował więc postanowiłem sprawdzić owy serial i przyznam szczerze, że jest to chyba najbardziej Kulturowo-Marksistowska produkcja, jaką widziałem w życiu. Serial nazywa się „Big Mouth”. Zaczyna się niewinnie - poznajemy 12 letnich bohaterów serialu, którzy wraz z początkiem dojrzewania zaczynają być kontrolowani przez widzialne tylko dla nich hormonalne potwory towarzyszące im na co dzień. Kończy się masturbacją 3-latkę za pomocą zabawki, argumentowaniem przez jedną z bohaterek identyfikujących się jako radykalna feministka, wsparciem Planned Parenthood czyli organizacji zajmującej się promowaniem i przeprowadzaniem aborcji w USA. Do tego jest mocno wyeksponowana postać geja inteligentniejszego i bardziej błyskotliwego od reszty (przypominam, że mówimy o 12 latkach), związki międzyrasowe, antykoncepcja, rozmowy z genitaliami i milion innych kontrowersyjnych, niesmacznych i po prostu chorych scen, które zarzucone setką żartów mają tworzyć obraz *fajności* i *młodzieżowości*. Kolejny serial, na który

natrafiłem to „Edukacja Seksualna”. Już w pierwszym odcinku możemy dowiedzieć się, że matka głównego bohatera, seksuolog puszcza się na lewo i prawo przy pełnej świadomości syna a w swoim gabinecie posiada kolekcję imitacji męskich narządów płciowych. Do tego najlepszym kolegą bohatera jest czarny homoseksualista zachwycający się innymi uczniami. Spodziejając się powtórki z Big Moutha zaprzestałem więc oglądania tego ścieku. Po przeczytaniu opisów kilku innych seriali okazuje się, że w każdym, w grupie najbardziej eksponowanych bohaterów występują następujące typy postaci: 1.Silna postać kobieca 2.Homoseksualista 3.Osoba rasy innej niż biała. Jeśli na takie rzeczy mają w sieci trafiać nastolatki czy nawet dzieci, to szykuje nam się pokolenie spaczonych przez marksistowską propagandę ameb zapatrzonych w seks, rozwiązłość i przyjemność jako wartości nadrzędnej ponad założenie rodziny, wierność i inne fundamenty europejskiej cywilizacji. Widzimy to zresztą już dziś, wszak największe poparcie efemerydy Biedronia i innych dewiantów mają właśnie wśród pokolenia, które właśnie kończy 18 lat. To pokolenie wychowane na Netflixie, oderwane od rzeczywistości, łudzone amerykańską wizją życia, szybkich przyjemności przy braku zaangażowania i poświęcenia. To pokolenie tęczyowych toreb i kolorowych włosów, nastolatków bez celu w życiu z wieczną pozowaną dla współczucia innych depresją. Nasza cywilizacja już umarła, jednak to od nas zależy czy odrodzi się ona z własnych popiołów potężniejsza, piękniejsza i silniejsza czy też pozwolimy tęczowym dzieciom dalej tańczyć na jej grobie. Naszym celem - Konserwatywna Rewolucja, pokolenie zemsty musi zmiążdżyć pokolenie Netflixu.

Filip Waligórski

Oleś Wawrzkowicz - Budowa programu politycznego i społecznego w myśli Wojciecha Kwasieborskiego

Gmach idei, której człowiek służy, winien być gmachem pełnym, obejmującym rzeczywiście całego człowieka.

W broszurze Wojciecha Kwasieborskiego pt. „Podstawy narodowego poglądu na świat” autor uważa, że człowiek idei, świadomy swoich obowiązków wobec Narodu, powinien nie tylko zabiegać o podstawowe rzeczy materialne, takie jak wyżywienie czy sprawne rządy partyjne, lecz stać się wychowawcą, budując solidny fundament tożsamości społeczeństwa. Tożsamość Narodu ma prowadzić do rozbudzenia inicjatywy w każdej warstwie społeczeństwa, które dzięki tej pracy ma stać się odpowiedzialne za sprawne funkcjonowanie państwa. Tym co ma szczególnie spajać i wskazywać drogę ma być siła moralna, uczuciowość oraz poświęcenie bez których nie ma czystego ideału, mogącego przekuć zwyczajną ludzką słabość w twardy monolit siły duchowej. Przez to, według autora, dziedziny takie jak polityka, ekonomia, moralność czy religia, nie są (i nie powinny być) odrębnymi sferami życia, lecz przenikającymi i uzupełniającymi się wzajemnie istotnymi i fundamentalnymi składnikami istoty Narodu. Społeczeństwo powinno być zbudowane na zasadzie gmachu, w którym harmonia, hierarchia, jedność oraz inne dziedziny życia są jego ścianami, podczas gdy *kopułą* wieńczącą ten gmach jest istota najwyższa - Bóg, czyli dobro ku któremu dąży Naród.

Energię i siłę do zmiany zbutwiałego porządku, który rządzi światem, Kwasieborski ten potencjał widział w młodym pokoleniu, które według

niego dokonało rewolucji we własnej duszy, co szczególnie uwidoczniło się w postulowanej przez nich radykalnej przebudowie polskiego społeczeństwa, które jako główny cel swojej działalności miało skierować się ku celowi najwyższemu czyli Bogu. Droga ku Zbawieniu wiedzie przez ziemskie życie, stąd według autora służba i praca dla Narodu, jest drogą ku Bogu, Zbawieniu. Kwasieberski uważa, że każda dziedzina naszego życia, od prywatnej sfery, poprzez życie społeczne i polityczne winna być podporządkowana Bogu. Jest to prawda, która powinna tkwić u podstaw wszelkiej twórczości Narodu, a co za tym idzie dzięki dogmatom i przykazaniom katolickim, zdyscyplinować społeczeństwo. Postulat ten jest stał się swoistym *novum* w dotychczasowej działalności obozu narodowego. Mimo iż już w latach 20 XX w. Roman Dmowski w publikacji pt. „Kościół, Naród, Państwo” uważał, że Kościół Katolicki powinien odgrywać znaczącą rolę w życiu Polaków, a podstawy wiary katolickiej powinny być wyznacznikiem moralnym świadomego narodu, traktował on religię katolicką instrumentalnie. Kościół Katolicki był postrzegany przez pokolenie endeków przede wszystkim jako instytucja hierarchiczna o niewzruszonych zasadach mających być solidną podporą dla kręgosłupa moralnego narodu polskiego. Ten pogląd młodzi radykałowie poddali rewizji zmieniając instrumentalne traktowanie religii katolickiej na jeden z podstawowych czynników determinujących większość z ich postulatów. Według młodych „[...] *odrodzenie, wyjście z dzisiejszej epoki błędzenia może nastąpić przez rewolucyjny zwrot ku wartościom bezwzględny, z których pierwszymi w hierarchii jako cele najwyższe są: Bóg i Naród*”. Zdaniem innego działacza RNR „Falangi”, Mariana Reutta, katolicyzm miał mieć prawo do regulowania i określania zasad życia społecznego i gospodarczego. Uważał on, iż ustrój polityczny [...] *musi być jeszcze jednym węzłem więcej jednoczącym człowieka z Bogiem, dającym ludzkiemu życiu metafizyczną głębię.*

Duch ówczesnych czasów sprzyjał radykalnym i dynamicznym działaniom, które uosabiali w sobie młodzi radykałowie. Mimo braku poparcia dla secesji narodowych radykałów, sam Dmowski uważał młodzież za to środowisko, które dobrze rokuje na przyszłość, a jej naturalnie nabyte młodzieńcze ideały, wykształcenie oraz umiejętność pracy grupowej powinny stać się motorem napędowym reform, które zachodziły w łonie obozu narodowego. Tym co spajało ruch młodych, była zasada hierarchii oraz *duch żołnierski, który przenika Naród*. Według Kwasieberskiego wszystkie siły fizyczne i duchowe mają być podporządkowane hierarchii wartości, a więc porządkowi, który przeciwstawia się *jarmarczemu bezładowi* oraz *nieustającej licytacji programów i idei*. Corneliu Codreanu napisał, że *Legionista boi się wyłącznie Boga, grzechu i chwili, w której siła materialna lub duchowa wyrwie go z walki*. Podobnie myślał Kwasieberski, który zauważył iż materializm oraz szaleńczy i ślepy postęp prowadzi do stanu *jarmarku w duszach*, a przez to ma destruktywny wpływ na Naród, wprowadzając chaos i rozkład moralnym a w końcu zwykle lenistwo, które jest wrogiem idei czynu. Hierarchia celów dzięki zdyscyplinowaniu samego siebie oraz wartościowaniu własnych zasad, przygotowuje Naród do walki o własny byt, który mając oparcie o jasny ideał, wytężonej i ofiarnej pracy stanowi o jego sile. Działalność na polu idei narodowej, nie może być pracą obliczona na prywatną korzyść, lecz pracą z korzyścią dla całego Narodu. Ponadto autor uważa, że dyscyplina i hierarchia oparta na *uniwersalnych i bezwzględnych prawach nauki katolickiej*, staje się ideałem niezniszczalnym, opartym zarówno w sile fizycznej jak i duchowej. Zresztą według niego obie te sfery się wzajemnie przenikają i uzupełniają. Naród, oczami Kwasieberskiego, powinien być dynamiczny i rozwijający się, także w ramach rozwoju kulturalnego. Rozwój kulturalny obydwu się przy udziale i pod wpływem ogółu społeczeństwa oraz wytworzonego

przez niego dorobku kulturalnego. Świat kultury staje się według niego żyzną glebą na której wyrasta zdrowe moralnie i intelektualnie społeczeństwo. Przeciwnieństwem jest tu *zdegenerowane, zbutwiałe i rozstrojone fizycznie i moralnie społeczeństwo*, które nie jest w stanie wychować wartościowej i zdrowej moralnie jednostki, a przez to prowadzi do osłabienia Narodu. Takie społeczeństwo jest podatne na antykulturowe wpływy oraz obcą ekspansję kulturalną, która prowadzi do przejęcia kontroli nad społeczeństwem niezdolnym jej się przeciwstawić. Kultura ma także stanowić o harmonii duchowej społeczeństwa, które jako grupa ma oddziaływać na poszczególne jednostki. Podnoszenie wartości jednostki jest według autora realizacją idei narodowej, która podnosi wartość ludzką, a tym samym zbliża społeczeństwo ku wartości najwyższej. Tak pojęty sojusz idei i wiary ma stworzyć solidny fundament pod budowę państwa narodowego, świadomego swojego celu i misji. *W tworzeniu wielkości Narodu - wbrew słabościom własnym i przeszkodom, stawianym przez innych - tkwi szczęście i rozwój człowieka.*

Oleś Wawrzkowicz

Oleś Wawrzkowicz - Idea a czasy współczesne

Rewolucja myślenia i rewolucja działania – oto droga po której dążymy. I choć nie posiadamy jeszcze pełnej odpowiedzi na wszystkie zapytania, które sobie stawiamy, to wiemy, że braki nasze uzupełniamy łatwiej. Dzieci okresu burzy uczą się szybciej. (...) Dalecy od awanturnictwa politycznego, łączyć umiemy chłodną myśl z gorącą wodą.

Ilu z nas z sentymentem spogląda w czasy młodości? Młodości, która nie znała pojęcia kompromisu. Młodości, która płonęła nieustannym ogniem, *rozpalała duszę*. Młodość nasza nie liczyła się z czasem, który poświęcaliśmy na naszą działalność. Dla większości z nas nie liczyło się także to, że działaliśmy w pojedynkę, sami pośród miejskiej dżungli szarego życia. Liczył się cel, który rozpalał i pchał nas do działania. Nie liczyliśmy się z poświęconym czasem prywatnym, ani z pieniędzmi które trzeba było wydać. Dla nas było to codzienne *sanctusbellum* - święta wojna. Przechodnie, którzy widzieli tylko końcowy efekt naszej działalności, czyli zawieszony transparent, plakat, czy ulotki w skrzynce pocztowej, nigdy się nie dowiedzieli kto za tym wszystkim stoi. Zresztą nie było to dla nas istotne, ponieważ za każdym razem wracaliśmy do domu dumni ze swojej roboty. Ten *ogień walki* nigdy nie gasł, zawsze nasza głowa była pełna pomysłów, za każdym razem paliliśmy się do działania, nie mogąc usiedzieć dłużej w domu. Te codzienne życie, te nocne akcje nakręcały nas i co najważniejsze definiowały nas jako nacjonalistów, którzy tak jak romantyczni wojownicy zapatrzeni w swoich idoli niczym w antyczne posągi, chcieli choć w małym stopniu dorównać naszym młodzieńczym herosom.

Pozornie szare dni. Praca, szkoła, praca, szkoła i tak na okrągło. Czekaliśmy tylko, aż wrócimy do domu i zanurzymy się w nasz *świat rycerzy i herosów idei*. Ilu z nas z wypiekami na policzkach po raz kolejny zanurzało się w pisma Leona Degrella, Corneliu Codreanu, czy Jana Mosdorfa? Ilu z nas krzepiło duszę w muzyce Szwadronu, Honoru, czy Legionu? Ilu z nas czekało za kolejnym wydaniem papierowego zinu kibicowskiego czy narodowego? Ilu z nas marzyły się burzliwe lata 20 XX wieku? Lata czynu.

Mało kto miał dostęp do dobrego telefonu, a Internet praktycznie nie istniał, zresztą nie widzieliśmy potrzeby żeby się chwalić naszym czynem. Dziś? Ci, którzy stawiają nogi na szlaku idei i dumnie zważają się *narodowcami*, nie znają świata, w którym my stawialiśmy nasze pierwsze kroki. Słowo nacjonalista przechodzi im z trudem przez gardło, wstydzają się go. Teraz już nie trzeba hartować się w latach działania, wystarczy *być narodowcem*, zapisanym do partii, która obecnie próbuje zdobyć monopol na naszej scenie politycznej. Internet, smartfon, instagram, czy inne współczesne bożki młodzieży zepsuły i tak podupadły *świat narodowy*. Młodzi, którzy nie czują dyscypliny, ani hierarchii, czy nawet elementarnej poczucia kultury, odnoszą się do starszych działaczy, którzy chcą im wpoić podstawowe zasady, z lekceważeniem i pogardą. Współczesne pokolenie *narodowców* nie tylko nie zna nacjonalizmu jako idei, ale co najgorsze jest gotowe przeproszać za wszystko co tylko możliwe, aby móc odciąć się od bagażu lat, który nagromadziły poprzednie pokolenia i być tymi *dobrymi narodowcami*. Czy wśród nas znajdzie się ktoś, kto będzie przeproszał za to, że czytał Degrella, Codreanu oraz słuchał Honoru, czy Legionu? Czy wyprzemy się tych wszystkich szalonych akcji, tych bieganin nocami po ulicach miast? Tego nieustannego napięcia i płonącego czynu? Jeśli mimo wszystko

znajdzie się taka osoba, nie jest ona godna tego aby nazywać siebie samego nacjonalistą.

My się nazwy idealistów nie boimy. Wiemy, że tylko idealisci robili rzeczy wielkie, szerokiego znaczenia dziejowego. [...] Nazywają nas ambitnymi; może mają i słusność, bo ambicje nasze o wiele dalej sięgają niż tych, któremu się kierują nasi przeciwnicy. [...] Jakkolwiek politycy „praktyczni” nie rozumieją tego, jakkolwiek wydaje im się to idealizmem, brakiem trzeźwości, my na swej drodze zostaniemy. Ci z naszych przyjaciół, którzy się niecierpliwią, niech głębiej popracują myślą nad naszymi zadaniami, ci zaś przeciwnicy, co się obawiają naszej konkurencji o mandaty i stanowiska, niech się uspokoją. Nam się nie śpieszy... (Roman Dmowski).

Oleś Wawrzkowicz